

Kinga Matusiak

*Co-dziennik
strastrowanej trzydziestki*



Kinga Matusiak

**Codziennik sfrustowanej
trzydziestki**

Książkę dedykuję Magnolii, Eveli, Gwiazdeczce, Kapukatce, Hatii, Brzyduli i Katarzince

Podziękowania

Byłabym skończoną świnią, gdybym nie podziękowała Szanownemu za to, że go mam. Dziękuję Ci zatem za dostarczenie mi weny, tematów i w ogóle za to, że jesteś. Dziękuję z całego serca. Odwdzięczę się wieczorem...

Czym jest Codziennik?

Damska odpowiedź na *Pokolenie Ikea* Piotra C. Książka, którą napisała codzienność. Przewrotnie zatytułowana *Codziennik sfrustrowanej trzydziestki*, w rzeczywistości ukazująca myśli i życie zwyczajnej kobiety, która tkwi w każdej z nas. Świetne teksty i sama prawda.

Ubawicie się do łez.

1.

Ależ się nazałam... Dwa ziemniaki na krzyż, dziesięć serduszek drobiowych w sosie plus porcja gotowanych buraczków. Ajajaj! Sakramencka ilość. Sama się właśnie zaśmiałam. Głupia. Gdybym wciągnęła taką ilość, jaką jest w stanie wrzucić w siebie Pan Szanowny, prawdopodobnie pękłby mi żołądek. Co tam żołądek, gały by mi pękły, gdybym na swoim talerzu znalazła kilogram mięsa pod jakąkolwiek postacią. A na to, co jem (niestety w tym wieku), muszę już uważać. Szkoda, że kilogramy nie idą w cycki, tylko w dupę. Szkoda! Jeszcze w dupę jak w dupę, gorzej, że w brzuch. Ponton czy też opona (w obecnej chwili raczej zimowa) – to dopiero wyzwanie! Pół roku do niej podchodzę, pół roku i nic. Ani bieżnik się nie zmienił, ani faktura. Warsztat pozostał za to ten sam. Hehehehe.

Po jedzeniu najlepiej jest poleżeć, wypić gorzką herbatę, pogapić się w ogłupiacza (TV). No więc leżałam, leżałam i nie wiem, jaka cholera mnie podkusiła, żeby oglądać Kuchnię Plus, byłam już za to pewna, co zjem na kolację. Będzie pizza. Z mozzarellą, pomidorami, rukolą i szynką parmeńską. Wersja Szanownego Pana zawierała będzie kielbasę polską, pastę z czosnku (właśnie wstawiłam go do piekarnika), mozzarellę i oregano. Jak komuś w tym momencie ślinka cieknie, odstępuję przepis (sprawdzony). A co? Też możecie, nie? ;) Ogólnie rzecz

biorąc, propozycja kolacyjna nie przypadła Szanownemu do gustu (ja leżałam, on wychodził na siłownię), stwierdził jednak, że skutecznie go podpuściłam i ugniecie ciasto. Nie ma to jak czarne oczy z długimi rzęsami. Zawsze działają – niczym ślepią Kota ze *Shreka*. Sprawdziłam to w ekstremalnych warunkach, ale o tym przy okazji. Każda z nas zresztą ma coś takiego, co na jej faceta działa, jak „natura chciała”... Coś się przypala. Kurwa mać, czosnek!

Właśnie założyłam fotobloga, który będzie stanowił integralną część niniejszych wypocin intelektualnych. Kto ciekawy, niech zagląda: *codziennik.flog.pl*. Upieczony czosnek doczekał się fotorelacji. Na tej samej stronie zainteresowani znajdą przepis.

Szanowny, powróciwszy z siłowni, został uprzejmie poproszony o uzupełnienie niezbędnych składników w pobliskim Tesco. Zdążył wrócić i wyrobić ciasto. Plus jest taki, że jest w tym mistrzem świata (a raczej jego „bułki” – mięśnie bicepsa). Gdy zbliża się okres świąteczny, Szanowny pojawia się w domach naszej rodziny, by wyrabiać ciasto drożdżowe na przeróżne wypieki. Nie żartuję! Fajnie mam, co? A bułeczki jakie robi... Pychotka! Co prawda talent do wyrabiania ciasta wcale nie powoduje, że jest się facetem bez wad, zwłaszcza ciut młodszym ode mnie samej, ale mam nadzieję, że o tym również rozpiszę się w dalszej części. Na razie skupmy się na pizzy. Domowej, żadnej restauracyjnej czy pizzeriowej (taką też od czasu do czasu nie pogardzę), pizzy, która w obecnym stanie napięcia domowego stworzy okazję do rozmowy na

tematy mieszkaniowe. Pojechałam po bandzie, wiecie przecież, że w życiu nie ma nic za darmo, nie? Chcesz mieć pełny brzusek, Kochanie, wysłuchasz moich racji (na wieczorne śniadanie).

Pizza wyszła genialna. Poczułam się jak we Włoszech za starych czasów. Co za smak! Odkryłam przy okazji kolejny plus Szanownego – zezarł swoją pizzę i 2/3 mojej, więc nic się w naszym domu nie marnuje. Tylko pozostaje pytanie zasadnicze: gdzie on to mieści?! Kolacja zjedzona, kwestia mieszkaniowa przedstawiona, jeśli za rok nie będziemy właścicielami swojego mieszkania, fora ze dwora, każde idzie we własnym kierunku. Dość mam pakowania komuś forsy do kieszeni za wynajem. Jeszcze rok przeżyję, dłużej ni chuja. Poza tym kto to widział, żeby trzydziestolatka mająca stałego faceta przez pięć lat nie dorobiła się własnego kąta? Przy naszych możliwościach to jest śmiech na sali. I gównu mnie obchodzi, jak to zrobimy – mamy to zrobić. Koniec kropka, klamka zapadła.

Oglądam Igrzyska Olimpijskie w Londynie, Babiaryz tak się zapowietrza, komentując, że powinni chyba wezwać pomoc medyczną. Czasami wyłączam fonię w ogłupiaczu, bo po prostu nie da się słuchać tego, co mówią nasi komentatorzy. Zresztą jaki kraj, taka telewizja. Idiotyzm popychany debilizmem i tak w kółko. Niektórym stacjom to się nawet zatrudniać nowych statystów nie chce, bo i w serialach, i w programach, i w reklamach jeden i ten sam ryj. A już babka od podpasek przechodzi samą siebie. Jak, kurwa mać, trzydziestokilkulatka może udawać na-

stolatkę? No jak?! Takie rzeczy tylko w Polsce. Na Jedyńce nastolatka z podpaską, na dwójce kobieta w dyskonce. Czad! Co ciekawsze, nasza bohaterka gra z doskoku w serialach. Komplet! Jeszcze chwila, a taka wyskoczy mi z lodówki albo jej lico ukaże się na opakowaniu papieru toaletowego. Strach się bać, twoja mać! Nie rozpędziłam się, prawda? Też tak myślicie? Wiedziałam. O tym właśnie jest mój wypotnik, wszystko, co wiemy, ale o czym nie piszemy. Nie mówimy również, bo po co? (Czemu ten, który rzuca oszczepem, pada po rzucie na glebę?) Dziwne są czasy, dziwni ludzie, jeszcze dziwniejsze poglądy – co jak co, ale trzydziestolatki, takie jak ja, wiedzą, co w trawie piszczy i z czym to się je.

2.

Jezzzu, jak zimno, środek lata, a u mnie 16 stopni, wietrzysko takie, że łeb urywa. Porwałam się na mrożoną kawę, ale to chyba nie był najlepszy pomysł. Siedzę przed komputerem i mała głową nie pacnę o klawiaturę, tak mnie zamula. Kap, kap, kap. Pełnia szczęścia. Deszcz. Zapowiada się dzień leniwca. Zresztą dzień jak co dzień. Skłamałabym, gdyby było inaczej. Pobudka o 9, snucie się do 12 w pizamie. Marazm. Wieczne wakacje? Niech Was to nie zmyli, to raczej uroki prowadzenia własnej działalności w domu. Czasem brakuje mi spędu korporacyjnego, obowiązkowości, szumu, energii. Ale to tylko czasem. Spełniam się w tym, co robię, i nie narzekam. Weny do pisania też najwyraźniej nie mam, zdolnego zdania nie mogę sklecić (zdolnego?!). Też wymyśliłam, zdolne zdanie. Ale walnęło, nic poza blokiem vis-à-vis nie widać. Początek sierpnia, niech mnie ktoś kopnie!

Tak sobie myślę, że jakbym się pomoczyła w wannie, to byłoby mi lepiej. Ale w tym mieszkaniu nie ma wanny. Prysznic. Ewentualnie zlewozmywak w kuchni bądź umywalka w łazience. Póldupka nawet tam nie wetknę. Co za życie... Następne mieszkanie musi mieć wannę, taki jest warunek. Tym razem nie dam się przekonać, że bez wanny da się żyć. Nie da się. Próbowaliście golić nogi pod prysznicem albo w umywalce? Ja robiłam to setki razy, niestety, do tej pory mistrzem w tym nie jestem. Albo... o!

– wymoczyć stopy do pedicure. Marzenie. Popierdzielam z wiadrem wody raz w tygodniu, stawiam sobie to wiadro w salonie i siedzę jak kwoka na grzędzie (tylko jajek brak). A Pan Szanowny chodzi i się wyśmiewa. Wiadro jest duże, nogi mam szczupłe, zatarganie wiadra stanowi niezłe wyzwanie, ale żeby tak bezczelnie się nabijać? Gazelą nie jestem, nie byłam i nie będę. Starczy, że muszę do golenia girę podnieść na wysokość około metra i potem ją stamtąd zdjąć. Wyczyn :P

3.

Co za popieprzony piątek! Nie dość, że pół nocy kołowałam się w łóżku (wiatry, gazy i inne zmiany jelitowe, nic, tylko startować i latać), to jeszcze w pracy kocioł totalny. Kociokwiku piątkowego wszyscy dostali czy jak? Z tego, co się orientuję, mam tylko dwie ręce i dwie nogi, a oczekuje się ode mnie takich efektów, jakbym ich miała dwa razy więcej. Ośmiorniczka: 4 rączki, 4 girki, jest OK? Pisał ktoś kiedyś girą na komputerze? Pffff. Ostatnio na Facebooku krążyły obrazki z podpisami typu: „Napisz swoje imię łokciami i zobacz, co wyszło”. Próbuję. Kli9jioaq. To zaszalałam :D Muszę użyć jakiegoś mało skomplikowanego podstępu, żeby wywalić Szanownego do monopolu. Nie, nie, nie. Piła od południa nie będę, hahaha. Papierosy mi wychodzą. Ostatnia sztuka moich ukochanych R1 Slim Line leży i cichutko prosi: „Zapal mnie, no zapaaaaal”. Ktoś potem będzie musiał ruszyć dupsko. Tylko że to nie będę ja (jestem jeszcze w piżamie – chyba już Was to nie dziwi?). Lunch? Że niby zrobię jakąś sałatkę i potrzeba mi produktów? Niezłe. Ale szczytem moich możliwości to to nie jest. Hhhhymm. Podpaski mam, do okresu jeszcze chwila. Gdzie jesteś, inwencjo twórcza? A może po prostu poproszę? Ale zaraz się zaczną jęki: „Wczoraj przecież kupowałem”, „Kici, ile ty jarasz?”. Ble, ble, ble, bla, bla, bla. Zawsze mówię, że ja już ojca jednego mam (nie wiem gdzie, ale mam), i kończę dysku-

sję. Dobra, dam mu spokój, popatrzę na tę leżącą ostatnią sztukę i będę udawała, że nie słyszę, jak prosi :) Haha, wymyśliłam! Powiedziałam, że jak pójdzie do sklepu, to mu zrobię minicheesburgery na lunch. Okropna jestem, ale Szanowny łyknął haczyk. Kocham tego Ciołka. Za mięso zrobi wszystko! No, mam nadzieję, że prawie wszystko... ;)

PS Polazł, kupił, co chciałam. Za karę pochłonał 4 kotlety. Żarłok.

Królestwo za czekoladę! Malagę! Chyba mam dni płodne, bo smaki wymyślam niczym Gessler w Słodko-Słonym. Kapucha kiszona... mmmmmm... mniam. Plus czekolada, ryzykowne połączenie. Ale spokojnie, potrafi mi tak odbić, że sałatkę śledziową popchnę czekoladą i żyję, a do tego mam się dobrze. Ciekawe, czy za dziesięć lat taka kombinacja nie wyjdzie mi uszami, młodość ma przecież swoje prawa! Trzydziestolatka młoda? Dobrze, dobrze, nie zaczynam nawet... Chociaż jeśli mam być szczerą, to jeszcze do zeszłego roku żyłam w słodkiej nieświadomości tego, że mam wątrobę, a teraz już wiem (przypuszczalnie), że wyposażono mnie nawet w trzustkę! Odkrycie roku! Tylko Nobla nie dostanę. Jakie to zresztą ciekawe, że im jesteśmy młodszy, tym mniej nam coś dokucza. Czy ktoś kojarzy, żeby nie wychodził za gówniarza na dwór, bo go brzuch boli albo głowa? A teraz: boli głowa, seksu nie ma... Taka jazda. Boli mnie brzuch, śpij dziś w salonie... Trzeci dzień mam łóżko w sypialni tylko dla siebie. Zołza. Ale za to śpię jak gość. W poprzek łóżka, z jedną girą na północ, drugą na południe. Ma się ten roz-

staw osi :D

SMS: „W Biedrze (Biedronce) są twoje Redd'sy”. No, to jest jakaś wiadomość! Zwłaszcza że moje Redds'y nie bywają wszędzie (limitowana edycja), poza tym naprawdę smakują wyśmienicie (żurawina). Na upał nie ma nic piękniejszego niż kobiece piwko. Tylko zaraz, zaraz... Co Szanowny robi w Biedronce? Bo na pewno nie pracuje. Samozwańcze zakupy żywieniowe? No błagam, to by było lepsze niż piątka w totolotka (nie napiszę szóstka, bobym skłamała!). Wysłałam SMS zwrotny: „A co ty robisz w Pierdonce?”. Czekam... Czekam... Czekam... Chyba jest w szale zakupowym, bo nie odpowiada. Nie zadzwonię, bo aż taka ciekawska nie jestem, ale cierpliwość też nie jest moją mocną stroną. No patrzcie! Nie odpisuje drań. O, przyszedł SMS. Niech wejdzie :) „Kupuję ci twoje czekolady”. Prorok?! Wróżbita Maciej? Śmiać się czy płakać? Boziu, czy mnie się gdzieś coś głośno nie wyrwało na temat malagi? Nie, no nie było go w domu. Podśluch? Na klawiaturze? Zgłupiałam. Szanowny mnie zadziwił. A coraz rzadziej się to zdarza (zwłaszcza w długodystansowym związku). Pisałam już, że mam z nim dobrze? Ciekawe, czego chce, hehehe. Powrót do sypialni czy inny złowieszczy pomysł?



GDYBY MARKETY BYŁY
W NIEDZIELĘ ZAMKNIĘTE...



W PIĄTEK NASTĘPOWAŁABY
KUMULACJA IDIOTYZMU



Miałam Wam napisać o jednej sprawie. Nie wiecie tego, bo jeszcze się nie chwaliłam, ale właśnie mnie naszło, więc weźcie mnie do łapki i poświęćcie kilka minut (co tam kotlety, pranie, dzieci). Pięć minut, napisałam, nie godzinę :) Dedykowałam to, co piszę, zagadkowym Nic-kom. To dziewczyny, które popchnęły mnie w kierunku napisania *Codziennika*. Znamy się wirtualnie, spotkałyśmy się w jednym z wątków na Wizaju i tak zostało. A przynajmniej tak jest od kilku miesięcy. Właśnie napisałam jednej z nich, że jak uda się to wydać, podzielę się z nimi forszą – w końcu to one były silnikiem dla mojego motoru twórczego. Prawda, że jestem miłą trzydziestolatką? No, to teraz wracajcie do swoich obowiązków, ale nie odkładajcie mnie na półkę. Mam jeszcze wiele rzeczy do opowiedzenia, przekazania, zakomunikowania. Nudno nie jest i nie będzie, o to się nie martwcie!

4.

Szanowny siedzi i udaje, że pracuje. Nie jestem gorsza w udawaniu. Facebook, Wizaz, maile, czekolada, zestawienia klientów. Pić mi się chce, ale nie chce mi się iść. Sporo się tu muszę nalatać, bo mieszkanie jest dość duże. Spróbujemy fortelu. Uwaga. „Nie chce ci się jeść?” – pytam. „A tobie?” – odpowiada. Siedzę cicho. „A co chcesz zjeść?” – kontynuuje (już jestem w domu!). „Pić mi się chce”. On: „Przecież masz piwa w lodówce”. Wzrok bazyliuszka patrzy na niego lodowato. „Chcesz wody? Mam tu wodę” – wyciąga spod swojego biurka i nalewa mi do szklanki. Szlag, mogłam nie kombinować, od razu dostałabym wodopój. Niemniej jego tok myślenia znów mnie zaskoczył. Niezły jest, nie? Dobra woda. Od kiedy skubaniec trzyma wodę w biurze? I po co, skoro on w ciągu dnia raczej nie pija niczego poza colą zero? To łobuz. Ancymon jeden. Nawet dolał mi, zanim dopił z butelki do końca. Szczyt wyrafinowania. Oho, chyba go bolą mięśnie od klikania. Fik, lewa łapa w górze. Fik, prawa łapa w górze (ciekawe, czy giry też podniesie?). „Coś Cię boli?” – pytam. „To, że się tak wyginam? Cały skostniałem, drugi dzień siedzę przy komputerze”. Skostniałem. Hahaha. Dobrze jest z nim pracować w jednym pomieszczeniu. No i uwielbiam go zaczepiać, ot tak sobie. Zawsze się daje na coś nabrać. As.

Zapomniałam napisać konspekt do wydawnictwa. Pół

strony streszczenia. Wybrałam na początek wydawnictwo Znak, z racji tego, że wydało *Wdówki Futbolowe*, które są przecież w podobnym tonie. Piszemy? Piszemy, jak napisała Magu. Raz się żyje. Lecim na Szczecin.

„*Codziennik sfrustrowanej Trzydziestki* to myślotok XXI wieku. W pełni autentyczny, powiązany z fotoblogiem – by czytelnika jeszcze bardziej w autentyczności utwierdzić [podałam adres fotobloga, na którym można obejrzeć wykonane przeze mnie zdjęcia, nawiązujące do wydarzeń w książce]. Ja, trzydziestolatka, piszę o tym, co myślę na najróżniejsze tematy, przeplatając dzieło faktami ze swojego życia. Wszystko doprawiam sporą dawką humoru, sama nieźle się bawiąc przy pisaniu. To opowieść o związku kobiety z ciut młodszym facetem, o stawianiu odważnych kroków w dzisiejszych czasach i o decyzjach, które mają niesamowity wpływ na moją przyszłość. Dodaję kilka sprawdzonych przepisów, a wszystko fotorelacjonuję. Tytuł, jak i budowa dzieła, skonstruowany jest w ten sposób, że w razie powodzenia można będzie przygotować kolejne części, a w razie niepowodzenia – po prostu mile spędzić czas. Zakładam, że przeczytanie wersji próbnej nie będzie czasem straconym. Książka dla kobiet o kobietach, dla mężczyzn o mężczyznach. Lekko, z polotem, momentami odrobinę kontrowersyjnie, gdyż nie analizuję tego, co piszę. To myślotok”.

Gratuluje temu, kto przeczyta to w pierwszej kolejności. Fajnie by było, gdyby książka trafiła do rąk kobiety

w podobnym wieku lub o podobnych przekonaniach. Nie ma przecież nic gorszego od wydawnictwa dla trzydzieci w łapach Sześćdziechy lub co gorsza Sześćdziecha. Klops w sosie by był, nic więcej. Zresztą czy ja już nie wspominałam, że pisanie to dla mnie niesamowita przyjemność i zabawa? W końcu jestem moim ksiązkowym numer jeden. Potrafię zrec' literaturę. Ostatnie zakupy na Weltbildzie, gdzie kupiłam 19 sztuk, musiałam dwa tygodnie później powtarzać, bo wchłonęłam wszystkie! A każdą przeczytałam. Mniej lub bardziej pobieżnie, bo zmuszać się do czytania nie umiem. A skoro czytać potrafię, gadać potrafię, pisać również, to czemu mam nie próbować? Warto dodać, że „szczekać” też umiem, ale niestety pierwsza uciekam. Ratlerek. Nie lubię tej rasy, ale za to pamiętam jeden dość ciekawy przypadek. Pimpus Jebaka. Autentyk ze szczecińskiego osiedla. Pimppek był ratlerkiem, miał każdą sukę w okolicy, ale zawsze pierwszy uciekał przed człowiekiem, możliwie głośno ujadając. Zdziwilibyście się, za co potrafił się wziąć, a jeszcze lepiej jak! Psia fantazja nie zna granic... Osobiście aktualnie zwierzaka żadnego nie mam. Lubię je, ale na krótką metę (to samo dotyczy dzieciom). Oczywiście mam syna, i to całkiem dużego – w lipcu skończył 6 lat, ale mieszka z ojcem i tak na razie jest dobrze. Rozwiodłam się kawał czasu temu, zresztą niepotrzebnie braliśmy ślub. Nie chcę jednak o tym pisać, bo to zbyt osobiste. Niech uspokajający będzie fakt, że Szanowny ma naprawdę doskonały kontakt z Młodym, jak również z byłym (!!!). Serio, serio. I tyle na

ten temat. Zasłużyłam na papieroska, a co!

5.

„Przynieś mi kotleta na widelcu!” – wołam z biura, bo Szanowny urzęduje w kuchni. Rechocze. A co w tym śmiesznego? „Kotlet na widelcu raz!” – wpada, krztusząc się. „Idź, bo cię pacnę, ciulu”. Ewidentnie to miłość. Z pięcioletnim stażem! Szliśmy długą i wyboistą drogą, na szczęście jedną i tą samą ścieżką. Od rozstań po powroty, od wzlotów po upadki, od przyjaźni do nienawiści. Przeszedł jednak czas na stabilizację uczuć. Na właściwy port i wybór. Nie napiszę, że nie ryzykowałam, ale kto nie próbuje, ten nie ma. Nieprawdaż?

Ciekawe, co będzie na kolację... Jezu, czy ja nie potrafię myśleć o niczym innym niż o żarciu? Litości, Kingo! Nienawidzę, jak się do mnie mówi Kingo. Zwłaszcza, jak się nacisk kładzie na „n”. KiNgo. Bleech. Babcia tak mówiła, Kinyyga, Kinyygo. Lepiej tak niż w pierwowzorze. Podobno miałam być Różą. To dopiero by mnie pokarali... Nie żebym miała cokolwiek do tego imienia, ale do mnie z pewnością by nie pasowało. Hehehe, przypomniało mi się, że Magu znalazła w necie listę z imionami (wersja hardkorowo–erotyczno–bezczelna). Nie przepiszę jej całej, bo wydawca zje mnie żywcem, ale podam dwa przykłady:

Róża – to laska nieduża. Ma za to ogromne cipsko. Musisz mieć kolosa, żeby ją zaspokoić.

Kinga – dobra sztuka do burdelu, ubiera się w skórzane ciuszki, no i umie udawać orgazm.

Mam 168 cm, więc nie jestem nieduża. Skórzanych ciuszków nie noszę, samemu trzeba sobie wypośrodkować. Róża mi nie pasuje. I chooj.

(Jeśli nie masz poczucia humoru, zwróć to dzieło do sklepu, ewentualnie trzaśnij nim w kominek – przynajmniej na coś się przyda! Ewentualnie napisz do mnie, na coś się zamienimy :)).

Zamówiłam pizzę, tradycyjnie rukola, mozzarella, szynka, pomidorki. Monotematyczność pełną gębą. Natomiast jeśli chodzi o pizzerie, przynajmniej w Trójmieście, to godna polecenia jest tylko jedna (na Dąbrowie). San Marino. Tylko w niej mają moją ukochaną la Parmę (nigdzie indziej nie, bo podobno się nie opłaca). Sprawdziłam, polecam. Na moją odpowiedzialność. Zaczynam przebierać nogami, ślinka mi cieknie. Naprawdę jestem głooodna, no. Kto nie je, ten nie żyje. Amen!

Chyba już dzisiaj nie popiszę. Już wyjaśniam dlaczego. Otóż mieszkam w bloku zwanym apartamentowcem i są tutaj ciekawe mieszkania. Na przykład to, które znajduje się naprzeciwko okien mojego biura, ma ogromny taras, na którym aktualnie trwa impreza. Absolutnie mi to nie przeszkadza, problem natomiast polega na tym, że w owej imprezie bierze udział dwójka młodych ludzi (samiec i samica). Ich śmiech jest po prostu nie do zniesienia (uchyliłam okno, bo lubię mieć świeże powietrze przy kompie). Pół biedy, że śmieją się naprawdę głośno. Pół, że takiego śmiechu nawet nie potrafię opisać. Wiecie, co mam na myśli? Może i w waszej obecności czasami ktoś się

zaśmieje tak, że nie wiecie, czy to śmiech, czy wołanie o pomoc, czy może dana osoba krztusi się kawałkiem pożywienia? Otóż to. Śmiech–nie–śmiech, na dodatek głośny i wkurwiający. Jak znam Szanownego, walczącego nadal z zachodnim eBayem, jeszcze chwila i zaczną ich przedrzeźniać. Już widzę żyłkę macho–macho. Skroń prawa. Jaki sprytny! Niby słuchawki założone, niby muzyka włączona, ale rejestruje zewnętrzne dźwięki. Fenomen, hehe... Ciekawe, czy zostanie mu to na starość? Jak będzie ślepy, to rejestrator dźwięków jeszcze się wzmocni, jak ogłuchnie, to mu się wzrok wyostrzy i zaczną dostrzegać moje pryszcze przed okresem. Byle do pięćdziesiątki piątki – potem nie będę go przecież miała. Sama nie wiem, co lepsze: głuchszy czy bardziej ślepy? Jak myślicie? Obecnie Szanowny jest jak każdy facet – czasem głuchy, czasem ślepy. Macie taki egzemplarz w domu? Idę o zakład, że każda ma! Jak pójdę do fryzjera, to nie widzi zmiany, jak kupię nowe ubranie, też nie dostrzega żadnej zmiany. Szczytem mojej bezczelności jest włożenie takiej rzeczy z metką do szafy i wmówienie mu, że dawno to kupiłam (po co ma jęczeć, że znów ileś tam wydałam?). No co tu dużo pisać, spróbujcie same tego sposobu. Powodzenie stuprocentowe.

Impreza zamieniła się w wyzwiska. Tym razem to ja wyjdę z siebie. Jeszcze jedno „No kurwa!”, a zaczną szczekać. Jest w końcu po 23. Daj kretynom alkohol, pokażą ci, co potrafią. Nienawidzę takich ludzi. Mieszkasz w bloku, to się dostosuj, a jak jesteś aspołecznym bura-

kiem, zamieszkać w kartonie na polu. Lub bez, pośród swoich – innych buraków. Ćwikłowych bądź cukrowych. Słyszę rzenie samicy, samiec wtóruje. „Kurwowanie” mija, ale to pewnie kwestia czasu. I na co było wynajmować komfortowe mieszkanie? Na nic. Jeszcze jeden przykład (rzenie trwa i zaczynam się niepokoić). Kojarzycie, że mieszkamy na piątym? Kojarzycie. Jak zapada noc, zazwyczaj koło pierwszej, ląduję w sypialni. Wówczas do moich uszu dobiegają dźwięki sikania sąsiada z czwartego. Strumień ma dobry, ale łap nie myje po skorzystaniu. Akustyka bloku gwarantuje mi ciekawe nocne doznania. Gorzej bywa w dzień, bo na trzecim mieszka rodzina Azjatów, zmuszająca dzieci do gry na fortepianie tudzież pianinie. Uściślając: ona plus dwie córki to Azjatki, on Polak z gatunku pospolitusrzadkobywajacywdomus. Pewnie pływa na statku, widać go raz na kilka miesięcy. Nieważne. Zmierzam do tego, że jak te biedne dzieci zaczną grać, to dosłownie od ósmej rano do dwudziestej wieczorem. Świątek, piątek czy niedziela. Akurat sprzęt stoi w tym samym pomieszczeniu, w którym u nas znajduje się biuro, tyle że dwa piętra niżej. Jakie wojny mieszkańcy prowadzą z tą kobietą – nie macie pojęcia. Ale nic to, nauka trwa. Osobiście uważam (i nawet to sprawdziłam), że takie zachowanie w bloku nie powinno się zdarzać, a rodzinka musi albo zacząć korzystać z usług szkoły muzycznej, albo wynieść się w cholere do domku na prerii. Jakim trzeba być idiotą, by we wspólnocie, jaką jest blok, serwować innym coś takiego? Dam, dam, dam, tara ram.

Jakbym sobie kupiła trąbkę, pewnie by mnie w podziemnym garażu związali i wrzucili do śmietnika :) Na razie widzę tylko, że samochód owych sąsiadów jest w coraz gorszym stanie. A to rysy, a to koło przebite, a to jajko, a to jogurt na szybie. Nie dociera. I nie dotrze. Szkoda tych, co tu zostaną – my w ciągu kilku tygodni zmieniamy adres. Nie z powodu wirtuozów – właściciel mieszkania, które wynajmujemy, postanowił po prostu ponownie się do niego wprowadzić. Jego wola, jego chata. Stąd też moje aluzje dotyczące naszego miejsca na ziemi, ale to już ustaliliśmy. Pora na dobranoc i na nocny koncert „Nie mam jeszcze syndromu psi-psi”.

6.

Wygląda na to, że szczęście się do nas uśmiechnęło. Zdaje się, że przedłużymy umowę najmu o kolejne pół roku, a tym samym z mojej skrzynki mailowej zniknie jakieś 50 wiadomości dziennie (gdzie się dało, subskrybowałam nowe ogłoszenia). Sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, bo teraz ona spłaci jego, a nie on ją. Napisałam też maila do biegłego z zakresu badań akustycznych z pytaniem, czy i za ile przeprowadzi badanie. Ciekawa jestem, czy można wygłuszyć mieszkanie, czy lepiej w ogóle dać sobie z nim spokój. To bardzo istotne, bo pewnie za pół roku po prostu byśmy je kupili. Szybki remont i można żyć. U siebie, a nie u kogoś. Voilà!

Mamy dzisiaj Święto Wojska Polskiego plus Wniebowzięcie. Wolne w środku tygodnia (jest środa) skutecznie potrafi wyprowadzić mnie z równowagi. Nie jestem stanie zrozumieć tych wszystkich porąbanych polskich pseudoświąt, powodujących u większości sraczkę emocjonalną, objawiającą się w szczególności zmasowanym atakiem na sklepy spożywcze. Ludzie, do kurwy jasnej! To tylko jeden wolny dzień, a zapasy większość robi jak na wojnę. Kilometrowe kolejki, pieczywo i mięso wykupione do południa. Co jest?! Szanowny był wczoraj w Lidlu (pochorowałam się i mam kwarantannę), stał 30 minut. Przy kasie. Daj ludziom hasło, że jednego dnia sklepy zamknięty – efekty będą właśnie takie. Że też przed nie-

działą nie ma takich wiejskich spędów. Zadziwiające. Chleba sobie nie można więcej kupić dzień wcześniej? Mięsa? Chyba macie coś takiego jak zamrażarki, nie? W czwartek sklepy znowu będą czynne. Naprawdę nie trzeba na nie napadać we wtorkowe popołudnia tudzież wieczory. Albo to – próbowaliście kupić coś w markecie w weekend? Ulubiona rozrywka naszych rodaków. Sobota, niedziela wycieczka do marketu. Matki z dziećmi, ojcowie z koszykami. Babcie z dziadkami, ciotki z wujkami. Łażą i węszą. Weźcie idźcie do parku! Do zoo, kina, gdziekolwiek. Co mają w sobie markety, że najfajniej w nich spędza się weekend? Tego nigdy nie zrozumiem. Miło by było, gdyby markety mogły być w weekendy zamknięte. Obawiam się jednak, że w piątki następowalaby kumulacja idiotyzmu. I tak źle, i tak niedobrze, dlatego mam swój wypracowany system. Duże zakupy robię raz w tygodniu, koło południa, zazwyczaj we wtorek lub czwartek. I mam wolne. Wolne od zaopatrzenia, wolne od przepychanek, wolne od kolejek. Można? Można!

7.

Przyjechała ciotka. Z Ameryki. Pamiętacie, jak się za gówniary mówiło koleżankom o tym, że ma się okres? No więc przyjechała. Zapowiedziana zresztą, miesiąc w miesiąc koło 15. Czy jej chcesz, czy nie, przyjeżdża. Chamka. Dwa dni będę teraz do tyłu chodziła. I na co to? I po co? Wiecie, co mówią? Że kobieta to jedyne takie zwierzę, które przez siedem dni krwawi i nie umiera. Niezłe, ale prostackie. Założę się, że wymyślone przez jakiegoś samca z dyndającymi, włochatymi jajami. Żeby chociaż połowa zdawała sobie sprawę z tego, jak to jest naprawdę mieć okres, a poprawnie w moim wieku pisząc – miesiączkę, to zamknęłaby wreszcie japy na kłódkę. A tak już od wczoraj słyszę: „Co ty taka wkurwiona?“, „Co ty taka marudna?“, a w nocy „Co ty się tak wiercisz?“. Jakbyś miał w perspektywie noszenie przez najbliższe kilka dni pieluchy, też byś był wkurwiony, nie wspominając już o tym, że to cholernie boli! Poza tym hormony to hormony, pieprznij sobie strzał z testosteronu w dupę, to zobaczymy, jak cię będzie nosić!

Internet dzisiaj nawala. Zadzwoiłam wściekła do Multimedia, bo w takich warunkach pracować się nie da. Nie dość, że odebrał konsultant tak modelujący głos, że myślałam, że zwymiotuję („Halllooo, czyyyym moooogęęę słuuuużyyyyyyyć?“), to jeszcze siedem razy pytał, czy problem dotyczy dekodera czy routera. Śmiem twierdzić,

że ten pan też ma okres... Szanowny za to ukrył się dziś w swojej jaskini i wcale go nie widzę. A to świnia jedna. Wie, co jest grane, instynkt samozachowawczy działa. „Koooooot?!” – wołam. Cisza. „Kot!” – wrzeszczę. „Noooooo?” – odpowiada. – „Mam słuchawki”. O, to skubaniec. Nie dość, że nie widzieć, to jeszcze nie słyszeć! Ha! Tu go mam, ciula jednego. Chyba sobie zakodował: „Nie drażnić, nie dotykać, unikać”. Kobiety mają przerażane. Fakt faktem – powinien mieć się na baczności i ogólnie rzecz biorąc, nie dziwię mu się. Na jego miejscu co miesiąc wynosiłabym się z domu na dwa–trzy dni. Ale to ja :)

Jeszcze w kwestii internetu... Mam jedną uwagę. Czy wiecie, że używanie WIELKICH LITER, czyli tych, które pojawiają się po wciśnięciu Caps Locka, oznacza w świecie wirtualnym krzyk? Zajrzałam (jak co dzień) na Facebooka, a tam wpisy typu: „KOCHANI MOI! JEŚLI ZAGŁOSUJECIE NA MOJE ZDJĘCIE W KONKURSIE, ODWDZIĘCZĘ SIĘ, OBIECUJĘ!”. Chuj wie jak, ale się odwdzięczy. Po pierwsze, od razu mnie krew zalewa (nagła), bo tego nie idzie czytać, aż w oczy kole, po drugie, tego typu posty są lekko uwłaczające. Osobiście w życiu nie błagałabym o głosy w konkursie, ale mniejsza o to. Kolejny idiota: „CIEKAWY, JAK BĘDZIE WYGLĄDAĆ TEKST TEGO JUTRZEJSZEGO »ORĘDZIA«?”. Ciekawe, że nie wiesz, jak korzystać z klawiatury, a posty wklejać umiesz... A tu mistrz świata: „SERDECZNIE CIEBIE ZAPRASZAM WRAZ Z TWOIMI PRZYJA-

CIÓŁMI I ZNAJOMYMI NA »WIECZÓR KULTURY«, KTÓRY ODBĘDZIE SIĘ W RAMACH OGÓLNO-POLSKIEGO FESTIWALU KU WOLNOŚCI W DNIACH 7 ORAZ 10 WRZEŚNIA 2012 R. W KLUBIE GOCLAW W WARSZAWIE. PROSZĘ O TELEFONICZNE POTWIERDZENIE OBECNOŚCI. MÓJ NUMER TELEFONU TO: 5X7- -4X0-8X5. ROBERT PUCXXXSKI Z WARSZAWY”. Nie dość, że zaprasza na wieczór kultury, to nie zna podstawowych zasad kultury w sieci. Ochujał. Tak, wiem, wiem, świata nie zbawię, na szczęście dysponuję przyciskiem „Usuń ze znajomych”. Najpierw jednak zastosowałam próbę przyuczenia w postaci swojego postu: „KRETYNI FACEBOOKOWI! Jeśli piszecie post, udostępniając go do publicznej wiadomości, WYŁĄCZCIE TE PIEPRZONE CAPS LOCKI, BO CZYTAĆ SIĘ TEGO NIE DA. Przyśięgam, że zacznę wypieprzać ze znajomych całą hołotę piszącą w ten sposób! W internecie kultura też obowiązuje. KURWA MAĆ!”. Poszło w świat.

Rozwijając temat Facebooka: ostatnio natknęłam się na fan pejdź strony o muskulaturze, a akurat tutaj mam coś do powiedzenia – Szanowny z tych kręgów. Pokazuję mu stronę, pytając, czy zna pajaca. Mówi, że nie ma pojęcia, kto to jest, a skoro nie ma pojęcia, to znaczy, że gościa „nie ma”. Czemu pajac? Ryłam ze zdjęć ze dwadzieścia minut. Cycki tak okłaczone, że sutków spod nich nie widać, do tego małpia mordą, a co najlepsze i w ogóle cudowne, koraliki na szyi. Jeszcze sukienkę by włożył i miałby mi-

lion wejść. Małpolud degenerat, cholera jasna. Nie wiem, co się z tymi ludźmi dzieje. Odmóżdzenie XXI wieku? Kulturysta to człowiek, który pokazuje ciało, nie biżuterię, nie kłaki. Widziała któraś kiedyś pokazy z obwieszonymi biżuterią i włochami mężczyznami? No chyba że to nowy rodzaj muskularnych. Im więcej mam kłaków, tym więcej pod nimi mięśni? Koraliki gratis. Czy to może taka nowa moda? Im gorzej, tym lepiej? Bo że zapomniał się wydepilować, to niemożliwe – sprawdziłam zdjęcia od początku istnienia strony. Koraliki i kłaki w komplecie od początku. Lelum polelum. Nie wpuściłabym takiego do domu.

8.

Magnolia poszczuła mnie papryczkami faszerowanymi, a ja ani mielonego w zamrażarce, ani papryk, czekam też na odkrycie roku – obieraczkę do papryk z Silit.pl – będzie dopiero w poniedziałek. Co za „maupa” mała, no. Smaka mi narobiła, a ja przez najbliższe dwa dni jestem unieruchomiona. Pieprzony okres. Chociaż z drugiej strony lepiej mieć, niż nie mieć, nie? Jakoś mi do ciąży nieśpieszno. Szanowny by się cieszył, ale nie ja. Powiedziałam mu wczoraj zresztą: „Urodź sobie sam”. Niech próbuje. Będziemy bogaci, hehehe.

Chmurzy się, coś walnie, czuję to w kościach. Gdzie to lato? Piotr C. wie gdzie. Znalazłam fajną książkę napisaną przez faceta: *Pokolenie Ikea*, cytowaną od kilku tygodni w Angorze. Jak on to napisał? Cytuję: „Jakby ktoś mnie pytał o zdanie, to ostatnio Polska przesunęła się do Azji, a w czerwcu startuje u nas pora deszczowa, która zakończy się w listopadzie. Później jest zima”. Dobry jest? Książkę już kupiłam, z autografem, w necie. Nie będę żałowała na literaturę, jak wiecie, książki jem niczym Szanowny mięcho. Zainteresowało mnie również wydawnictwo, które opublikowało książkę napisaną cholernie ciętym językiem, co mi się osobiście bardzo podoba. Novae Res. Już wiecie, co zrobiłam? Oczywiście posłałam fragment *Codziennika*. Kto nie próbuje, ten nie jedzie! Na razie w kwestii pisemnej posucha jak na Saharze. Ani widu, ani słyhu, jestem

jednak niezrażona, klepię dalej. Zresztą jak się wkurzę, sama ją wydam. I sama sprzedam. Potrafię dokonywać rzeczy niemożliwych, tylko cuda zajmują mi trochę więcej czasu. Nie wymyśliłam tego sama ;) Gdzieś zasłyszane, odpowiednio wykorzystane. Chcecie, podajecie dalej. Wolno wam. A w kwestii samej publikacji pisałam poważnie. Jeśli nikt nie zechce podjąć się wydania *Codzienika*, wezmę sprawę w swoje ręce. Tyle.

Prosiłam, jak byłam mała, teraz działam. A tak w ogóle wiecie, że autor w zależności od wydawnictwa oraz podpisanej umowy dostaje 10–20% ceny sklepowej książki? Czyli od 2 do 6 zł za sprzedany egzemplarz. Bogactwo, nie? Normalnie nie wiem, jak dziewczynom spojrzę w oczy ;) Miałam się przecież podzielić. Sądziłam, że starczy na dobre wakacje, a tu co najwyżej na dobrą czekoladę dla każdej z osobna. Ale zostawmy kwestie materialne, przecież nie o to tutaj chodzi. Miałam pisać – piszę. Miało być zabawnie – jest. Miało być po mojemu – inaczej się nie da. Prawda?

Szanowny coś się podejrzenie kręci. Oho, gazeta w łapę. Zgadnijcie, gdzie pójdzie... Cóż za finezyjne ukrycie faktu, że idzie się do toalety na kupkę. Bo się sama posikam. Ze śmiechu. Jedna długość salonu – meta na balkonie. Druga długość salonu – meta na balkonie. Przerwa w biegu, gazetka w łapce. Kolejna długość salonu. Znika w nicości toalety. Nie mam pojęcia, po co ten kamuflaż. Śmieszne to. Wasi też tak mają? Czy to odmienny i jedyny taki przypadek? Niczym F16 na niebie, niewi-

doczny dla radarów. Tyle że ten domowy radar działa po
stokroć lepiej i wyczuwa, kiedy F16 z gazetą w łapie
zmierza do kibla. Litości, kochanie, czy ty się mnie po 5
latach wstydzisz??? Plum. Udam, że tego też nie słyszę...
Obrzydliwość!!!

9.

Spałam sama. Bolało mnie płuco, bolało żebro, bolała ręka, brzuch. Kręciłam się jak wściekła kotka podczas rui. Nie wiem, o której w końcu zasnąłam, ale zasnąłam. Wiecie, że mam nową koleżankę? Spodziewałam się tego, bo kręciła się koło mnie od jakiegoś czasu, ale wczoraj przybyła na dobre. „Wałeczkowa Podcyckowa”. Ze Wschodu. Wschodnia Wałeczkowa pod prawym cyckiem. Zamieszkała pod nim bez pytania o zgodę. Toż to niczym włamanie! Teraz jak siadam, mam pod cyckiem daszek. Chyba się rozplączę. To wszystko wina siedzącego trybu życia. Jak pójdę się zważyć, to nie uwierzę. Nie, nie pójdę. Mam to gdzieś. Pójdę! Przecież zawsze mogę zrzucić. Nie pójdę! Bo się załamie. Idę, raz się żyje. Czekałta tu na mnie.

58,7 kg. Dramatu nie ma, spodziewałam się 60. Tyle że do takiej wagi brakuje naprawdę niewiele. Ciekawostką jest to, że jak już będę naprawdę blisko 60, nastąpi rewolucja żywieniowo–ruchowa, po czym, gdy spadnę w ciągu dwóch miesięcy do poziomu 56–57, zacznie się od nowa olewanie tego, co wypracowałam. Chyba lubię być masochistką. Zresztą jakie to cholernie niesprawiedliwe, że jak się miało dwadzieścia kilka lat, to takich problemów nie było! A teraz nie dość, że na wagę należy uważać, to jeszcze kosmetyki inne, skóra inna, cycki inne, tyłek inny. Co za dramat. Cellulit? A co to było? Zwierzątko futer-

kowe? Ozdoba na włosy? Tak, oczywiście, cellulit to taki mały potworek, który jak już się zadomowi, to nie wylezie za żadne skarby świata. Nie wygonisz go żadną maszyną, żadną tabletką, żadnym ćwiczeniem. Po prostu zamieszka nowy koleżka z nową koleżanką Wałeczkową.

milena
matak

MAM NOWĄ
KOLEŻANKĘ



WAŁECZKOWA
ZACHODNIA



ZAMIESZKAŁA BEZ ZGODY!

TOŻ TO
WŁAM!

Przypomnę tylko dla jasności, że hormony buzują i że

niedługo czas na dziecko... Tyle że mnie się nie chce rodzić. Setki razy wyjaśniałam. Ale widmo wisi nade mną. Czuję to. Presja otoczenia, młodszy samiec w domu, chęć posiadania potomka. Trudno będzie, ale do macierzyństwa nikogo nie można zmusić. Co za durne schematy próbuję skutecznić, dość tego! Zamykam temat niczym krzyżyk Cyryla na jego czapuni przed wejściem do lymuzyny. À propos – w internecie już się śmieją, że mu ktoś GPS wyłącza... :P

Coś bym zjadła. Naleśniki ze śliwkami? Piętnaście minut roboty. Chyba się zbiorę. Jak skończę, napiszę przepis i cyknę fotkę (dziś już jedną zrobiłam, bo Szanowny przytargał mi kwiatuchy). Zapomniałam, że jestem w innym stanie. Nie mam talentu – w związku z tym – do niczego, ale naleśniory jako takie wyszły. Na oko mąki, jajko, ciut sody, soli, ja dodaję jeszcze kapkę oleju do środka i szczyptę cukru waniliowego. Wszystko mieszamy na jednolitą masę, której konsystencja powinna przypominać lekko lejącą się śmietanę, na rozgrzaną suchą patelnię i finito. Dwa zeżarłam. Niezłe nawet...

10.

Wiadomość z ostatniej chwili jest taka, że jutro podpisujemy u notariusza umowę przedwstępną wykupu. Tadam! Czyli jednak jak się człowiek uprze, to dostanie, czego chce. Trochę było ostatnio z tym cholernym mieszkaniem nerwówki. Właściciel znów stwierdził, że się wprowadza, potem, że jednak nie. Ochujec można było. Finalnie jednak postawiłam na swoim i niech, kurde, nikomu nie śmie choćby łapka jutro zadrzeć, bo normalnie zatłukę. W obecności świadków. I mecenasa. Z desperacji. Każdy sąd mnie uniewinni! Podobno kiedyś była precedensowa sprawa w sądzie warszawskim (słyszałam to od znajomego adwokata). Żona zabiła we śnie męża, bo chrapał jak wściekły. Uniewinniono ją – obrońca udowodnił, że dźwięki, jakie człowiek wydaje, śpiąc (chrapanie!), mogą doprowadzić do szału, obłądu czy czegokolwiek podobnego... Pani w chwili popełnienia czynu była niepoczytalna. Koniec kropka, zwierzaka nie ma. Żeby różowo nie było, pragnę poinformować, że Szanowny również potrafi sobie zaciągnąć jak stary trabant. Tyle że albo dostaje od razu w łeb, albo ja z miejsca kapituluję i zmieniam pomieszczenie. Niestety, mam bardzo płytki sen. Barrrrrdzo. I on o tym wie, i ja o tym wiem. Nie pamiętam tylko, czy opowiedziałam mu tę historię, czy on z natury jest taki... hmmm... „ugodowy”? Czasem śpiewam mu *Stary niedźwiedź mocno śpi*, ale puszcza to mimo uszu.

Najlepsze wytłumaczenie, jakie słyszałam w kwestii jego chrapania, to takie, że to chrapią jego włosy w nosie, a nie on. Hehehehe.

Pozostańmy przy tematyce cielesnej. Jak już na początku wspomniałam, w tym wieku dowiaduję się, że mam pewne narządy wewnętrzne. Od kilku dni boli mnie coś w środku pod lewym cyckiem, jakby pod żebrami, a może za żebrami. Oczywiście poleciałam zrobić badania – krew, mocz, mocz, krew – które wyszły idealnie (tfu, tfu). Następnie wpadłam na pomysł wykonania RTG, co również uczyniłam, ale i to nie dało odpowiedzi, bo wynik w normie. Tyle że dalej boli. Z całego swojego tchórzostwa odstawiłam na kilka dni jedzenie, alkohol, papierosik też mi nie smakował – posiłkowałam się zupami i suchym chlebem. Wszystko na nic, jak bolało, tak boli. Czy jem, czy nie jem, czy piję, czy nie piję. Ostatnią deskę ratunku wykorzystam dziś. Jadę na USG. Od pięciu godzin nic nie jadłam, na godzinę przed badaniem mam wypić 3–4 szklanki wody i się nie poszczać. Ładnie to sobie ktoś wymyślił. To będzie z litr. Badanie potrwa jakieś 15 minut, a więc pozostała godzina. Czyli z tym pełnym pęcherzem mam wytrzymać półtorej godziny?! To jest akrobacja. Raz w życiu zlałam się w majtki (jako człowiek tego świadomy). Ze śmiechu. Nie wiem, czy Wam też się to zdarzyło. Zresztą co to za tematy?! Oczyma wyobraźni widzę siebie z laseczką na ławeczce w parku. A tu mnie boli, a tam mnie boli. Jak mówi Magnolia, to SKS (starość, kurwa, starość). Tylko co będzie za 20 lat?

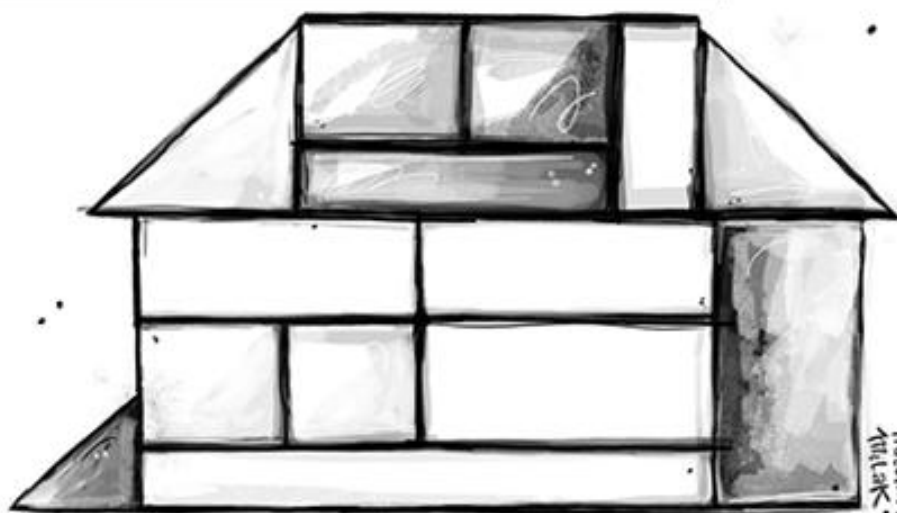
Opilałam się wody przed badaniem konkretnie. Wciągnęłam chyba z półtora litra, stawiałam się o umówionej godzinie w durnej placówce Clinica Medica, licząc na planowe przyjęcie. Jakże się pomyliłam! Umówiona na 16.20, oniemiałam, kiedy zobaczyłam przed sobą cztery osoby. Babka z 15.30 siedziała jeszcze pod gabinetem. Ależ się wkurwiłam, a właściwie mój pęcherz się wkurwił, bo już przebierałam nóżkami. Pokonywałam kilometry na korytarzu przychodni, siedziałam, stałam, siedziałam, stałam. Wszystko na nic – nieziemsko chciało mi się szczać! Finalnie poradziłam sobie jednak i hardo wkroczyłam na badanie. Jaki konował mnie diagnozował, to szkoda pisać – 90 zł w błoto. Nie dość, że USG jamy brzusznej trwało jakieś 3 minuty (!!!), to jeszcze stosunek do pacjenta opłakany. Facet nie powiedział nic oprócz „Dzień dobry”, „oddychać”, „nie oddychać”, „nabrać powietrza”, „wypuścić powietrze”. Mało brakowało, a zbadałabym się sama! Pytam ciula: „Czy to, że pan nic nie mówi, to źle, czy dobrze?”. Patrzy na mnie zidiociałym wzrokiem (jakbym mu puściła baka pod nosem) i odpowiada: „A po co mam mówić?”. No kurwa, litości! Po co mnie w ogóle badasz, a właściwie po co udajesz, że badasz? Daj mi to USG, sama spróbuję. W końcu odezwał się sam, nieproszony: „Badanie skończone, niech się pani leci wysikać”. Że co? Wcześniej nikogo z gabinetu nie wypraszał. Jednak kapituluję, idę. Wracam. Diagnoza. Wszystko w porządku, tylko pęcherz przepelniony! A kto mi, do chuja, kazał wypić litr wody godzinę przed badaniem? Z osłem się na

łby pozamieniał? Sprawdzałam wcześniej opinie w necie na temat przybytku, w którym byłam, ale nie wzięłam tego, co wyczytałam, na poważnie. Teraz potwierdzam – Clinica Medica to konowały! Pytam dalej: „To co może mnie tu [pokazuje] boleć?”, a on na to: „Jelito grube”. To se pogadaliśmy. Musiałam stamtąd wyjść, bo krew mi zaczęła wrzeć. Szanowny widział tę kurwicę w oczach, jak tylko otworzyłam drzwi gabinetu. Za łeb i do samochodu, nie dał nawet pisnąć. Kozioł wredny.

AAA!!!

TRAFIŁAM TRÓJKĘ!

KUPIĘ SOBIE DOM!



Z KLOCKÓW...

JAK STARCZY...

Aaaaaaa! Trafiłam trójkę w totka :)! Kupię se dom!
O! (Z klocków, jak starczy...).

Wszystko wskazuje na to, że muszę się udać do gastroendokryno–kurwa–loga (dłuższej specjalizacji się nie dało?!) na kolonoskopię. Czyli rurka w dupkę i jedziemy. Już to widzę. Boshe... Najpierw jednak konsultacja, zobaczymy, co na to Pan Doctorres. Podobno wybitny specjalista (dostałam namiar od producenta tych kapsułek endoskopowych z kamerą). Zobaczymy, co mi dupie piszczy... Wołałabym, żeby to jednak jeden z przebadanych narządów strajkował, ale sami rozumiecie, życie to nie koncert życzeń. Na razie stanęło na jelicie grubym. I zostawiam ten temat, bo im dłużej o nim myślę, tym gorsze wizualizacje pojawiają się w mojej głowie. Na pocieszenie – jest coś takiego jak majtki endoskopowe. Z dziurą wiecie gdzie. Ależ ta medycyna poszła do przodu!

11.

Teraz będzie również od „dupy strony”, bo zupełnie o czym innym. Skoro czytacie tę książkę, to znaczy, że się ukazała, ale właśnie TERAZ dostałam maila z wydawnictwa, że jest zainteresowane publikacją!!! Podskok, zeskok, podskok, zeskok, Wizażówki już wiedzą, radość panuje! Au, ale się pizdnęłam w biurko. Zwinnych, małych ruchów tym samym nie mam. Tak więc wiecie, jeśli i Was jakieś wredne baby namawiają do napisania czegoś, nie wahajcie się, skrobcie i próbujcie u mojego wydawcy – najwyraźniej jest popyt na „taką” twórczość :) Boję się tylko jednego, że pod presją nie pójdzie mi tak lekko jak bez niej. Co innego dłużyć dla siebie, co innego pod publikę, ale kto ma dać radę jak nie ja? Poza tym dzień jest jakiś z tyłka wyjęty (ale mnie wzięło na tematykę analną, no, no, no). Najpierw użerałam się w bankach (oczywiście nie dostałam kredytu), a potem nagle to... Jak to Magnolia ujęła: „Życie”, raz dobra wiadomość, raz „bach” – zła. I nie zwariuj. Akurat.

Na 15 września muszę się zrobić na bóstwo. Poleciałam zapisać się do fryzjera, na manicure, pedicure. Trzeba by pojechać po kieckę i buty. Nie mówiłam, co jest 15? No to mówię. Gala KSW, gdzie Szanowny jest sponsorem jednego z zawodników (chyba by wolał, żebym zachowała jego anonimowość?). Wiadomo: pot, krew, łzy plus śmieć tanka towarzyska. Zbyttno się z tymi ludźmi nie utożsa-

miam, ale wypada pójść – „czeba” zatem się prezentować, prawda? Chociaż jak sobie pomyślę, że przez najbliższe kilka dni mam kłaść się w solarium, to mi kłaki dęba stają. Wszystkie kłaki. Nawet te, których nie mam. Nie wiem, co prócz miniklaustrofobii powoduje, że mnie skręca na samą myśl. Może ten smrodek palonego ciała? Może wizja raka skóry? Kto wie, co siedzi w moim łbie. Niekoniecznie wiem. Nie mam natomiast wątpliwości, że dziś po pierwszy podcinano mi włosy na stojąco. Nie wiem dlaczego. Taki kaprys miała pani fryzjera czy rzeczywiście tak jest łatwiej? A może zacošana jestem, że dwa lata u kłakologa nie byłam, bo nie miałam takiej potrzeby. Farbować się nie farbuję, końcówki okazjonalnie przycinała mi mama, no nie musiałam i już. Hej, fryzjerki, czy teraz się strzyże właśnie tak? Mam długie włosy, za ramiona, może to jest powód? Ale mnie naszło, jak nie o dupie, to o włosach. Opamiętaj się, czekolady zjedz! Jedną maluśką czekoladkę, malagę. I ani mniej, ani więcej.

Zapomniałam opowiedzieć, że dostałam od Szanownego po pysku. Nie żartuję. Jak mi sieknął dzisiaj w nocy z lewego sierpowego, to nie wiedziałam, czy najpierw się bronić, czy oddać. A śnił mi się mały piesek. Wracając do tematu: otwieram oczy i nie mam pojęcia, czy to był sen, czy jawa. Czekam, niedźwiedź chrapie. Otwieram jedno oko, kierunek Szanowny (znacie to? Jakie prostytutki leśne są najlepsze? Zezowate. Bo jak robią loda, to od razu pilnują samochodu) – zero reakcji, włochacz śpi dalej. Nagle łapa znów w górze. Cap – mam cię, gnido. Zrywa się. On:

„Co jest? Co jest?”. Ja: „Uderzyłeś mnie”. On: „No chyba sobie jaja robisz”. Ja: „O trzeciej w nocy!?”. On: „Przepraszam, spałem”. Ja: „Kiedyś mnie w nocy zabijesz i nie będziesz nawet o tym wiedział”. On: „To się dowiem rano”. Hahahahaha. Opadło mi wszystko, począwszy od szczęki. To bydlę wstrętne, włochate. Zemszczę się. I to jeszcze dziś. Na razie nie wiem jak, ale to uczynię. Z pełną premedytacją. O, dzwoni. „Zaraz podjadę, pojedziemy na te twoje zakupy, co?”. „Daj znać, jak będziesz”. Fochamam. Zgubię się w Klifie, podpierdoliwszy mu kartę kredytową. Hehehehehehehehehe.

12.

Kaca mam. Kac morderca nie ma serca, a przecież wypiliśmy tylko sztyry piwka żurawinowe. Chyba już łeb nie ten sam, tolerancja nie ta sama, wiek tyż. Starość. O ja, znów zaczynam... Wczoraj Szanowny odkrył przede mną tajemnicę, którą ukrywał przez 5 lat. Wczoraj dowiedziałam się, że mi czasem oko ucieka (ej, ej, bez skojarzeń! :D)! Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, że TO wyszło, ale wiem, że dostałam szału. Jak mógł przez 5 lat nie powiedzieć mi, że TO mam? Podobno delikatnie ucieka, jak się zamyszę albo jak szybko popatrzę w inną stronę. O zgrozo... On to widział i nie powiedział... Co za tupet.

Wrócił Szopen z trzeciego piętra. Litości! Przypomniało mi się, że pisałam skargę do administracji w imieniu swoim, Szanownego i jeszcze kilku lokatorów, ale nie doczekałam się odpowiedzi, a tym samym reakcji. Zadzwoiłam, pojęczałam. Mam czekać na kontakt. Oby wkrótce się wyrobili, bo przestanę za siebie ręczyć. Za co to brzdąkanie akurat mnie spotkało? No za co? Przecież dobry człowiek ze mnie, wysyłam SMS-y na fundacje różne, różniaste, nie krzywdzę ludzi i zwierząt, nie czynię zła, nie szerzę nienawiści. Czasem pokrzyczę, czasem pogadam pod nosem, pomarudzę, ale żeby we własnym domu spokoju nie mieć – to jest szczyt wszystkiego! Cóż, będę musiała wypowiedzieć wojnę, bo przecież życie z takich aspektów się składa... Przysmęciłam jak nie ja.

Starzeje się :) Nie, no żartowałam!

Wczoraj znalazł mnie na fejsie mój pierwszy narzeczony. Desperat. Już czterdziestoletni. Znaczący kryzys go dopadł i chyba szukał kotleta do odgrzania. Nie poszłam na to, to oczywiste, można nawet napisać, że mi to schlebiło, nie spodziewam się jednak żadnych drastycznych zmian w swoim życiu osobistym i poinformowałam go o tym. Oj, faceci, faceci, gdzie wy czasem macie mózgi? Odpowiem sobie sama – w gaciach.

Flak mnie przestał boleć, a potem znów zaczął. Odwołali mi wizytę u tego tamtego gastro-sraastro. Jak chcę się umówić na nowy termin, to nie podnoszą słuchawki. Dupki. Mama zasugerowała zrobienie testu na helikoptera, ale wyszedł negatywny. Nie mam wrzodów. Ale za to mam problem. Kto mi robi kolonoskopię? Domowo, bezboleśnie...?

Przyszła jesień. Z wielkim hukiem wpakowała się do mieszkania, aż włożyłam spodnie od dresu Szanownego (wielkie, puchate i cała się mieszcze). Pora wypatrywać spadających liści, kasztanów pod nogami, rozwodnionych psich kup, błota, deszczu... Bleeeeeeee. Może se kalosze kupię? Bo nie mam. Zresztą nigdy nie miałam. Albo kapcie, papcie, laczki, cichobiegi? Paputki, pantofle domowe? Też raczej nie noszę. Ale kupić mogę. Chciałabym skarpety, takie jak z reklamy banku pocztowego, ale mama mówi, że nie umie pięty zrobić. No ja tym bardziej z drutami nie miałam nigdy do czynienia. Z drutami (nie napisałam fiutami!)! Połowa z Was miała właśnie takie

skojarzenie, wiem to – ze mną było identycznie :P Może bym się naumiała? Przydatne to, sweter se zrobisz, szalik, beret. Wełniane gacie, rękawiczki, torbę! Patrzcie, znów mam skojarzenie. Torba i drut, drut i torba. O, wiem, żeby nie było seksualnie, niech będzie kangur na linii wysokiego napięcia. Zgrabnie :) Tamtej pierwszej seksualnej wersji nie napiszę, bo i tak te, co chciały, od razu wiedziały, co mam na myśli Nie będę się zatem afiszować z nazewnictwem męskich części ciała. Zachowam to dla siebie. Mała podpowiedź: mam w domu grubego, dość długiego druta. I w tym momencie powinnam sobie zacząć szukać schronienia. Szanowny mi łeb rozwali :P (PS Rozmiar, drodzy panowie, ma znaczenie!)

13.

Nie wiem, w co ręce włożyć, nie wiem, co pierwsze robić, nic nie wiem. Posrało się wszystko nagle, ot tak, po prostu. Znów telefon za telefonem, mail za mailem, życzenie za życzeniem, problem za problemem. A jest piątek, i to po 16! Życia nie macie? Dajta spokój, no, ładnie proszę. Tu paleta, tam przesyłka, po drodze reklamacja – nie przyznałam się, że pracuję w logistyce? W sumie to robię jeszcze kilka innych rzeczy, ale to raczej nudne. Chcecie wiedzieć? Dobra, zrobmy tak: te, co chcą, czytają, a te, co nie chcą, przekładają kartkę dalej, si? Obiecuję, że będzie dokładnie tak wydrukowana, że właśnie w tym miejscu będzie można przerzucić kartkę i dostanie się wam nowy rozdział. Podobno nie ma rzeczy niemożliwych, a ja nie chcę, byście potem jęczały, że nuuuda ten *Codziennik*.

Więc dobra, co to ja miałam? Aha, praca. No tak, logistyka (konkretnie jeden przewoźnik, amerykański). Co poza tym? Samozwańcza agencja reklamowa plus produkcja jednego maluskiego urządzenia, które noszącym sznurowadła ułatwi życie. Właściwie to mój życiowy projekt, ale nie mogę za wiele na ten temat pisać. Przecież wiecie, że jakbym mogła, tobym chlapała jęzorem, nie? Mam nadzieję, że w trakcie postępów nad owym dziełem trochę mi się jęzor rozplącze. Prócz tego wszystkiego od kilku dni prowadzę rozmowy z Przemek Dzieciom – Przemek Szaliński, zapytajcie wujka Google, to Wam

powie kto to. Czyli mam co robić. Dodatkowo czasem robię pranie, czasem coś gotuję (lubię gotować), czasem ścieram kurze. Zwykła ze mnie baba. Mam podobne problemy do Waszych, być może zbliżone spostrzeżenia, może trochę specyficzne „pióro”... Przeszłość nie była dla mnie łaskawa, ale zatrzasnęłam już dawno te drzwi i mam nadzieję, że nigdy nie powróci. Popełniłam niejeden błąd, strzeliłam niejedną gafę, wysmarkałam morze glutów i wylałam ocean łez. Miałam dwa koty (rosyjskie niebieskie) oraz trzy psy. Syna mam (pisałam wcześniej), byłych mężów – sztuk jedna, byłych facetów – sztuk więcej. Hahahaha. O nie, nie, mniejsza o to :) Starczy o mnie. Aha, Kocham miłością platoniczną Magdę Gessler oraz Jarka Kuźniara. Kubę Wojewódzkiego też kochałam, ale ostatnio mi się odwidziuje (??? Słowotwórstwo ???), Kocham moje dziolchy wirtualne, no i przede wszystkim Pana Szanownego – kolejność była zupełnie przypadkowa! Wkurzają mnie te filmy dla, za przeproszeniem, debili, typu *Pamiętniki z wakacji*, *Kiepscy*, *Ukryta prawda*, *Klan*, *Pierwsza miłość*, wszystko z dodatkiem *miłość*. Idealna nie jestem, bo mam swoich serialowych faworytów: *Przepis na życie*, ostatnio *Lekarze*, no i ukochany szpital w Leśnej Górze. Ach, jak im się ta produkcja poprawiła ostatnio, dynamizmu serial dostał, nowych wątków, cudnych aktorów. Hana mnie po prostu zauroczyła (bez kombinacji – orientację mam prawidłową!). Jakaż ona jest kobieca i ulotna. Świetnie zagrana i dobrana postać. I tylko żal wielki dupę ściska, że nie ma takich szpitali i takich lekarzy (w wyjątki

jestem w stanie uwierzyć, bo sama ich czasem doświadczam), że nie ma takiej atmosfery, że tak się o nas w szpitalach nie troszczą. Powinnam zmienić front, bo chyba przed chwilą pojechałam po bandzie. Miało być o pracy, a skończyło się na Leśnej Górze. I nawet specjalnie tego nie zrobiłam.

Zmiana tematu. Szanowny dostanie po gębie, jak tylko wróci. Od tygodnia dostaję SMS-y, że zaraz nam zablokują telefony. A ja swoje rachunki płacę w terminie – jemu do łapy za siebie, on dokłada za siebie i płaci całość. Oj, najeżyłam się jak kaktus. Ojjojjoj.

Z tego całego wkurwienia zachciało mi się czekolady. Problem polega na tym, że gdzieś ją schowałam. Tak, tak, dobrze wiecie, co to znaczy. Ale żeby, kurwa mać, schować tak, żeby nie znaleźć?! Pies tropiciel czekoladowy by się przydał. Niech no pomyślę... Pod łóżkiem nie, bo mam skrzynię nieruszną, do bielizny takich rzeczy nie kitram, w ogóle sypialnia odpada. Mam! Ha! W lodówce, na najwyższej półce na drzwiach, tuż za słoikami leżą sobie dwie tabliczki malagi. To zresztą znaczy, że kończą mi się zapasy. Ale resuscytacyjnie – awaryjnie – mam co zjeść. Może wściekłość będę miała mniejszą? Może pazury schowam, bo nabuzowana jestem niczym karabin maszynowy. Nienawidzę niepłacenia rachunków, faktur i innych zobowiązań po czasie. No po prostu robię się zielona i dlatego tymi sprawami zajmuję się w domu ja. Prócz komórki. Ostatnio coś się prućam, że mam za dużo na łbie, że jeszcze rachunki etc., to Szanowny mi powiedział, że on

może płacić. Wiecie, co usłyszał? Że gdyby on płacił nasze rachunki, już dawno by nam prąd, telewizję, internet i wodę wyłączyli. Taka jest prawda, Szanowny nie jest ideałem! Ciekawe, czy już czuje w kościach zbliżający się Armagedon...?

1. PORTFEL
2. OKULARY
3. KALENDARZ
4. DWA DŁUGOPISY
5. GUMY DO ŻUCIA

NORMALNE

6. WKŁADKI HIGIENICZNE
7. CHUSTECZKI DO RĄK
8. PODPASKI

W MIARĘ

9. KALKULATOR
10. TAŚMA KLEJĄCA

GORZEJ

11. CZEKOLADA MALAGA
12. PÓŁ MARSJA
13. MIARKA
14. MAŁY ŚRUBOKRĘT
15. PUDEŁKO PINEZEK
16. KRET DO RUR
17. WIDELEC

O CO
CHODZI?

18. STARY PILOT OD TELEWIZORA

DAMSKA
TOREBKA



Nie będę przytaczała awantury domowej, bo po co, ale jak zwykle padło wiele mocnych słów. Stwierdziłam zatem, że otworzę sobie spółkę z o.o. i całkowicie rozdzielę nasze wspólne interesy. Co z tego będzie, nie wiem, ale taki jest plan. Na przeprosiny za to był mistrzowski kurczak w temperze, który, muszę przyznać, chyba wyszedł najlepiej od czasu, kiedy Szanowny go robi – przepis i fotka na *codziennik.flog.pl*. Chyba miał konkretne wyrzuty sumienia, no bo po prostu niebo w gębie. Oczywiście mu tego nie powiem, foch z przytupem trwa nadal – tak łatwo nie odpuszczam :P

14.

Sooooobota (ziew). Nuuuuuuudnaaaa sobota (ziew). Zwlekłam się o 11 z łóżka, za oknem marazm wrześniowy, wiatr huraganowy, piździawa niczym w Kieleckiem. Weny nie ma, obiadu pewnie nie będzie. „Kochanie, co dziś na obiad?” „Nic”. „Przecież wczoraj było nic”. „No tak, ale ugotowałam na dwa dni” ;) Chcesz zjeść, to se sam upoluj, zabij, wypatrosz, ugotuj lub usmaż. Ja strajkuję. Tylko nie wiem, czy głodowo. Papryczki bym wciągnęła. Ooooo, to jest myśl. Tyle że do papryczek prócz chęci nie mam w domu nic. Null, zerrro. Szanowny w lesie na rowerze, zapewne bez pieniędzy. Papryk tam nie znajdzie. W mięso mielone jeszcze bym uwierzyła. Z kreta chyba, hahaha. Drogi są dwie: albo się zbiorę i pojedę do sklepu, albo będę miała wszystko gdzieś. Nawet chęć na papryki. Przepisem się podzielę. Pisownia oryginalna. Przepis pochodzi, z forum, na którym bardzo często urzęduję.

End lan:

Zarzucata kiecę i lecita w magazin, z karteczką, bo w wybitność waszej pamięci w tym wieku już nie wierzę (sorry) – piszcie dużymi literami:

– papryki czerwone, dorodne, w zależności od zagęszczenia zaludnienia od sztuk przynajmniej „czech” do, powiedzmy, dziesięciu;

– mięcho mielone dostosowane do ww. ilości tak, żeby na paprykę jedną weszło koło 100 gramów surowego;

- ryż;
- ser żółty;
- koncentratto pomodoro;
- jajooo;
- natka pietruszki, if ju lajk;
- cebul kilka;
- vegeta, pieprz, sól, czosnek może być granulowany;
- oczywista oczywistość: tłuszcz do smażenia mielonego.

Tu:

Wracata do chaty obławowane, bo nie wierzę, że pójdziecie tylko po produkty z listy, 5 minut na złapanie przyzwoitego ciśnienia i start.

Tri:

Smażyta mięso z cebulką i przyprawami na taki kolo-rek, jak Wam się podoba. W międzyczasie ugotujcie od jednego do dwóch woreczków ryżu i sparzcie papryki. Teraz padnie pytanie, jak to zrobić, czyli jak sparzyć papryki. Papryka w łapę, ucinamy jej łeb, wygrzebujemy flaki – najlepiej łyżką. Wstawiamy do gara, zalewamy do 1/3 wody i gotujemy kilka minut. Mięso po usmażeniu musi ostygnąć, ryż zresztą też.

For:

Wszystkie składniki typu mięso, ryż, połowa startego sera (wszystko musi być zimne) do michy, wbijamy jajko, dodajemy koncentratto, przyprawoo i co tam zechcecie (np. natkę pietruszki), następnie pakujemy w paprykosy, wierzch posypujemy startym serem i bach do piekarnika na

jakieś 20 minut w 170–200°C. Zalecam termoobieg.

Można zreć. Uwaga, jak już raz spróbujecie, nie będziecie mogły przestać, więc przed spożyciem należy się z nami skonsultować.

W miarę możliwości do Waszej wyłącznej dyspozycji pozostają ekspertki w Firmowych Paprykach w postaci Magu end Mi.

Mile widziana fotorelejszyn end smakorelejszyn.

Tak się bawią trzydziestolatki na forach, hahaha :) Przyznaję bez bicia, że czasami mój pęcherz jest przez te wariatki wystawiony na testy wytrzymałościowe. Jak się kiedyś poszczam przed kompem, to trzeba będzie działać. Na razie daję radę, aczkolwiek niejednokrotnie oplułam przez nie monitor. Odmrażam ciasto na pizzę, taka odwaga mnie kopnęła. Szanowny ją zrobi, ja dziś nie kiwnę palcem, chyba że klap, klap w klawiaturę. Papryczki zrobię jutro. Aj promis ju.

Pisałam, że wczoraj obudziłam się z paniką w oczach (wcale nie z powodu wczorajszej awantury!)? Właściwie to obudził mnie samozwańczy gaz, pierd, bąk czy jak tam sobie chcecie. Wymsknął mi się sam (!!!), nawet nie wiem kiedy. Usiadłam na posłaniu, bo sądziłam, że Szanowny to usłyszał, ale go nie było. Całe szczęście, bo chyba pokulałby się z radości... Jaki mnie wstyd ogarnął, a przecież to ludzkie! Pomijam już fakt, że Szanowny potrafi walnąć w nocy, nic sobie z tego nie robiąc, potem tylko rano kwiczę, że mnie głowa od oparów boli. Temat–rzeka, nie? Każdy z naszych fantastycznych samców potrafi walnąć

kometę, nic sobie z tego nie robiąc, a my, kobiety, mamy z tym problem. Dziwne, ale prawdziwe. Może to kwestia wychowania? Podobno Szwedzi i pierdzą, i bekają przy stole, w dodatku to wyraz największego uznania dla umiejętności kucharza. Muszę to przetestować na jakiejś uroczystości rodzinnej, na początek w małym gronie. Szanowny i ja. Przy dzisiejszym obiedzie. Ciekawe, jaka będzie reakcja? Powiem potem, że prowadzę badania. Organoleptyczne. Głównie z analizy sensorycznej. Buehehe. Oczywiście dam znać, jaki będzie ich wynik. A tymczasem pójdę pod szalera. Może mi wróci chęć do czegokolwiek?

Nie było testów, bo nie było obiadu. Wykąpałam się i nakazałam wizytę w Almie. Zakupiwszy wszystko, co nadaje się do papryk faszerowanych, przystąpiłam do roboty. Oczywiście przytargałam 3 kg mięsa pod różną postacią, więcej niż na liście składników, ale to było do przewidzenia... Gotowe papryczki możecie pożreć wzrokiem na flogu. A co, od tego się nie tyje, nie?

„Może cię jakoś zainspiruję” – pyta Szanowny, podnosząc dwa paluszki w górę. O kurwa, ściągnął gacie i udaje hydraulika. Hahaha, bo się poszczam. „Pani, jak te rury mają iść?!”. To akurat jego życiowa rola. Włochata dupa i przedziałek robią furorę zawsze i wszędzie! Powiedziałam mu wcześniej, że najlepiej mnie inspiruje, jak śpi i nie pierdzi (albo i pierdzi), ale cofam to, bo numer z hydraulikiem jest przegenialny! Zsuwa spodnie na biodra, kuca i wrzeszczy, wymachując łapami. Scena godna

Oscara, możecie mi wierzyć na słowo. Niezły mam egzemplarz w domu, prawda? Zaśmiewam się przy tym do łez, chociaż znam to na pamięć. Czasem podczas wieczorków z alkoholem błagam go, żeby to zrobił, a on zawsze ulega. Czy w dresie, czy w garniturze. Taki przypadek. Nieuleczalny :)!

15.

Zasiadłam dzielnie do pisania, ale cóż to? Uwiera mnie pasek. Dosłownie wbija mi się w sadło na brzuchu! Au, no cholera jaśnista, po choój kupiłam taki kanciasty? Muszę poluzować. I co się śmiejecie? Nie luzowałyście nigdy paska? A ja owszem, zwłaszcza po jedzeniu. Zapomniałam, co miałam napisać. No cholera mnie weźmie, teraz odpięty wali mi o laptopa przy każdym ruchu (już macie skojarzenia?). Wścieklizny dostanę. Patrzta, jakie to trzydziestoletnie życie pokomplikowane. Taki szczegół, a do szału doprowadza. Całkiem jak Szopen z trzeciego, jak oddający w nocy mocz sąsiad i jak szarpiąca bachora matka. Zaraz bym taką sama potrzęsnęła. Jestem samozwańczą obrończynią dzieci i zwierząt, kobiet zresztą też. Mamy tu w klatce Asa, który regularnie sypia na wycieraczkę (może mi się uda kiedyś fotkę cyknąć, to się podzielę). Jego stara musi mieć jaja. Po prostu napitego gnoja do domu nie wpuszcza, a ten pokornie śpi pod drzwiami. Misch. Mnie by chyba serce pękło. A jakby się własnymi rzygami zakrztusił? Jeszcze by bidulę pociągęli do odpowiedzialności karnej. Bo w Polsce przecież prawo ustanawia się samo. Matka Madzi z Sosnowca – wolna, Marcinek z Amber Gold – wolny, a Stefan, co zajebał ze sklepu dwa chleby i kiełbasę oraz szampon, masło i litr wódki, siedzi trzy miesiące.

Opowiedziałam dzisiaj mamie (przyjechała chrzestna,

byłam przedmiotem pożądania, więc musieliśmy zawitać w drodze do delikatesów), jak Szanowny robi rozeznanie terenu przed skorzystaniem z toalety. Śmiała się, że on ma tak od zawsze. Podobno nawet jak mieszkał z nimi, to najpierw echosondą badał teren, potem cap gazetę i lądował we wcześniej zaznaczonym na mapie miejscu. Czy to nie głupie albo przynajmniej nienormalne? Co na to psychologia? Ajuto me. Was to właściwie nie dotyczy, ale ja nie wiem, czy zachować ostrożność, czy to już realne zagrożenie.

Sobotnią noc będę wspominała bardzo długo, zresztą nie tylko ja, ale również jakieś 80% osób z klatki. Jacyś kretyni z czwartego piętra wyszli z mieszkania koło pierwszej w nocy, zostawiając w nim psa. Wyjąco-szczekające bydło. Pies ujadał przeraźliwie, w końcu w oknach zaczęli się pojawiać ludzie. Moja wyobraźnia chyba też zadziałała, bo mówię do Szanownego: „Chodź, pójdziemy zobaczyć, może coś się komuś stało?”. Chętny nie był, by ruszyć dupsko z ciepłego łóżeczka, ale przecież własnej kobiecie nie odmówi, a tym bardziej nie puści jej samej w czeluść nocy. Wychodzimy przed blok, ujada niemiłosiernie na pewno gdzieś w naszej klatce. Drugie, trzecie piętro ma pochylane okna, ale to jakby nie stamtąd. Idziemy do ochrony, tam każą dzwonić na policję. No to dzwonię. Po 5 minutach podjeżdża patrol. Łazimy z piętra na piętro, nasłuchując. Lokalizacja zakończona sukcesem. Mamy stwora. Czwarte piętro, tyle że nie moje, a przeciwne skrzydło (mamy na klatce chyba z 50 miesz-

kań, po 10 na piętrze). Wałą do drzwi (przyjęli wersję, że może ktoś zasłabł), dzwonią. Cisza. Stoję jak debil na klatce w bluzie. „Ciężko jest lekko żyć”. Dwóch mundurowych zaczyna dzwonić i napierdalać (!!!) do sąsiednich mieszkań. Z jednego wytacza się koleś w slipkach. „Czy pan wie, kto tu mieszka?” „Nie wiem”. „A czy ten pies tak zawsze ujada?” „Nie wiem”. „A coś pan wie o sąsiadach?” „To ich wózek” – pokazuje palcem na czterokołowca stojącego w korytarzu. Kolejne mieszkanie, czarnula w okularach z tłustymi włosami. Niby nakrywa się szlafrokiem, ale wyraźnie widzę, że się jej ta niespodziewana wizyta podoba. „Ja ich znam, to nie jest ich wózek, ten pies nigdy tak nie szczeka. To młodzi ludzie, oni ciągle wyjeżdżają [hehehe, ona jest lepsza niż monitoring]. A co się stało, jeśli można wiedzieć?” „Prosimy wracać do mieszkania. Musimy ustalić, czy w środku nic się nie stało. Słyszysz pani, jak pies ujada?” „No tak, tak, już od godziny”. „Dobranoc”. „Dobranoc”. Przyglądam się całej sytuacji, jestem znużona, opieram się o filar, czworonóg nie daje za wygraną. Policji opadają ręce, bo przecież nie ma podstaw do wejścia do mieszkania. Jakby było zapalone światło plus wiedzieliby, że mieszka tam ktoś starszy, być może by interweniowali. Żegnają się, mówiąc, że można z nimi pojechać i złożyć skargę. Taaa, jasne, wątpliwa przyjemność. Przepraszają, że nic nie mogą zrobić. Żegnają się. „Fajna bluza” – pada z ust jednego z policjantów. „Widzi pan, szkoda, że ten pies nie rozumie jej treści”.

Interwencja była koło 3 w nocy. Miałam otwarte okno

w sypialni, bo po całej akcji naszła mnie ochota na papierosa. Otwiera się balkon na trzecim, wychodzi kolejna niewiasta w szlafroku i nasłuchuje. „Ja znam źródło, hehe”. Światło na klatce się zapala, kolejna osoba próbuje swych sił zwiadowczych. Z jakim skutkiem – nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że przed czwartą nareszcie wrócił ktoś, kto się tym kundlem opiekował, a że w tym czasie też paliłam (nie mogłam spać, chyba nikt nie mógł), widziałam wszystko z okna (niczym wspomniany wcześniej monitoring osiedlowy). „Dziękuję, że wreszcie pani wróciła” – drę japę. Staje, zadziera do góry łeb i mówi: „Yyyyy, przepraszam”. W dupę se wsadź te swoje przepraszam, pindo głupia (to już myśli, nie słowa). Przez ciebie czuję się, jakbym wróciła z imprezy, i to niezbyt udanej.

Postanowiłam napisać przemiły liścik i powiesić go na drzwiach zainteresowanej oraz przy wejściu do klatki. Treść: „Szanowni lokatorzy mieszkania numer bla bla bla, w imieniu mieszkańców klatki E i pobliskich zabudowań dziękuję za pouczającą i zaskakującą noc. Nie wiem, czy jesteście świadomi tego, że wezwana policja nie znalazła podstaw do wypieprzenia waszych drzwi i uwolnienia zwierzęcia wyjącego przez kilka godzin wniebogłosy, proponuję zatem albo zabierać go ze sobą, albo zapewnić mu odpowiednią opiekę. Mieszkańcy najbardziej zbliżonych z wami lokali z pewnością długo nie zapomną pobudki przez »pukającą« do ich drzwi policję. Celem mundurowych było ustalenie, czy przypadkiem w waszym

mieszkaniu nie stało się coś złego. Szczęście w nieszczęściu, że jedynym złem był porzucony i samotny pies, który postawił całą klatkę na nogi. Życzylibyśmy sobie, aby ww. sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła. Dziękujemy, że wrócili państwo o czwartej rano, tym samym uciszając zwierzę. Z poważaniem: niewyspani sąsiedzi”. To się wyżyłam. Intelktualnie.

16.

Poleżakowaliśmy na plaży. Niczym dwie ledwo żyjące foki wyrzucone na brzeg. Śmiesznie było, bo Szanowny ubabrał się lodem, ja zmoczyłam portki. Zresztą zawsze jest śmiesznie, bo zawsze nam palma odbije. Mamy ulubioną zabawę w odnajdywanie „świeżych par”, bo to akurat jest bardzo widoczne. Jakieś przytulanki, kwiatki, zdjęcia. Wyczuwamy takie znajomości na kilometr, hehe. Dziś spotkaliśmy dwie takie pary. Założyliśmy, że jedna poznała się na Sympatii, druga odnalazła na Naszej Klasie. Błęhehe. Wlazła taka ubrana w garsonkę na kamienie i pozuje. On uśmiech od ucha do ucha. „Idź jeszcze dalej”. Że niby już chce ją ratować, a może utopić? Nie wiem, jak pokonała kilkumetrowy dystans plażą w skórzanych butach i rajstopach pod spodniami, ale pylyng będzie miała zrobiony zawodowo. A może jej facio zaniósł ją na te kamyszki? Związek w początkowej fazie wymaga przecież poświęceń. Swoją drogą nie rozumiem, jak kobieta w moim wieku może pod spodnie założyć rajstopy bądź nawet kolanówki, no, te antygwałty, jak to mówią. Szanowny mówi, że go wzdryga, jak widzi takie coś. A może mu dryga? Kuffa, niemożliwe. Szum fal rozmył mi tę wypowiedź.

Idąc dalej tropem obserwatora i komentatora, jakim niewątpliwie jestem: moją uwagę przykuło opalone cielsko, leżące plackiem na kawałku granatowego kocyka.

Obok cielska leży decha surfingowa, więc pewnie jakieś ciastko leży i się suszy. Proponuję Szanownemu spacer wzdłuż plaży, co by przyjrzeć się odkryciu z bliska. Im bliżej podchodzę, tym większe mam wątpliwości co do ciasteczkowości owego znaleziska. Jeszcze 10 metrów i wszystkiego mi się odechciewa. Leży dziadzio, na moje oko 50–, 60–letni, ogolony wszędzie, gdzie widzę, na gładko. Nogi, ręce, pachy, klata... (to chyba po to, żeby być bardziej opływowym na żaglu?). Opalony pięknie. Kłaki na głowie obcięte na trepanację czaszki (część łba łysa, druga – włosy do ramion). Okulary w istic amerykańskim stylu. Deska nowa, jak ze sklepu, a z boku... Cena. To się dziadzio polansował. Ja naprawdę rozumiem, że można, że kasa i w ogóle, ale żeby z ceną? Dobrze, że nie znam swojego ojca. Może też mu tak odpierdziela...

Chciałam tym samym zgłosić jeszcze jedną obserwację, dotyczącą koszulki, T–shirtu, takiego czegoś z krótkim rękawkiem, zazwyczaj z nadrukiem bądź bez. Jak kobieta założy koszulkę i nie ma nic pod spodem, wygląda seksownie i słodko, prawda? A facet w samej koszulce? Bez bielizny? Jego penis wygląda wtedy jak kiszony ogórek wystający spod szaty czarodzieja, czyż nie? Panowie, błagam, nie róbcie nam tego. Nie paradujcie w samych koszulkach po domu.

Skoro mowa o rozbieraniu się. Odwołałam dzisiejszą wizytę w solarium (pójdę na tę galę jak blada bladź!), bo obejrzałam dzisiaj filmik na YT, jak włożyli dziewczynie do łóżka taką spaloną kukłę. Gdy otworzyła solarium, żeby

tam wleźć, mało na zawał nie padła. Podziękuję. Tchó-
rzofretka.

17.

Sypialnia moja. Tylko moja. Przynajmniej przez najbliższą godzinę. Szanowny uparł się i pracuje do oporu, kawkę „wypił koło 18”, to ma pałera (kawka w tabletkach – czysta kofeina). Ja skapitulowałam, wzięłam zeszyt i pióro (!!!) i piszę. Do Was piszę! Czujecie to? Zaczynam to traktować bardzo obowiązkowo. Niby piżamka, ząbki umyte, trele–morele odstawione, ale do pióra wena goni. Tup, tup, tup. O, patrzcie, nie wlaźł do mnie, tylko drzwi dalej – do toalety. Rozeznania terenu nie było, zakładam szybką sprawę. Dodatkowo nie zamknął drzwi, więc będzie kulturalnie. Strumienia nie słyszałam, ale gumą z bokserów pieprzył sobie okrutnie. Wysmarkał nos, umył łapy. „Te?!” – wydzieram się. „A wodę kto spuści?” „Ja zaraz tam wracam!” Aha, dziwne. „Au, kurwa!” – jeszcze sobie w stopę drzwiami zajebał. Hahaha. Co za ciul mały :)

Jutro poniedziałek, a ten dzień tygodnia nie należy do moich ulubionych. Który to będzie? Dziesiąty września? Coś w ten deseń. Cholera, rachunki muszę popłacić, zapomniałam. I jeszcze by przeze mnie wody, prądu i internetu nie było! Ale Szanowny miałby wtedy używanie! Aż się boję pomyśleć. Bo wiecie, to niby młodszy, ugodowy facet, tyle że jak się przepierdzieli, to gorzej niż pchła do psa. Gadałby i gadał, nudził i nudził. Mam już wytrenowane, że słucham pierwszych kilku słów na początku zdania i kilku ostatnich. W środku się wyłączam,

a i tak zawsze wiem, co miał na myśli bądź co opowiadał. Taki mój osobisty chwyt marketingowy. Co by sobie łba nie zaśmiecać i unikać tak zwanych opowieści dziwnej treści. Tematy zresztą zazwyczaj bywają te same. Szanowny (jak większość facetów zresztą) mówi albo o jedzeniu, albo o czymś, co zobaczył lub przeczytał w necie, a w 99% przypadków wiem o tym wcześniej, albo o tym, co ma do zrobienia bądź co zrobił, ale i tutaj w 99% przypadków wiem o tym wcześniej, znam jego projekty na pamięć. Czy wasi faceci też są monotematyczni? Czy zanim otworzą gębę, już wiecie, co chcą powiedzieć? Bo może to fenomen na skalę światową?

Dobrze, moi drodzy, dość tych przemyśleń. Pora na przygotowanie się do snu (przepraszam, że zabrzmiało to jak geriatryczne polecenia w domu spokojnej starości). Bach pod lewe oko, poklepać, bach pod prawe oko, poklepać. Teraz czoło, nos, policzki (coś mi nie pasuje). Dziś z okazji dnia lenia jeden krem do wszystkiego. Jeszcze stópki i łapki, ale co to? Krem do stóp?! O ja cię pierdziele!

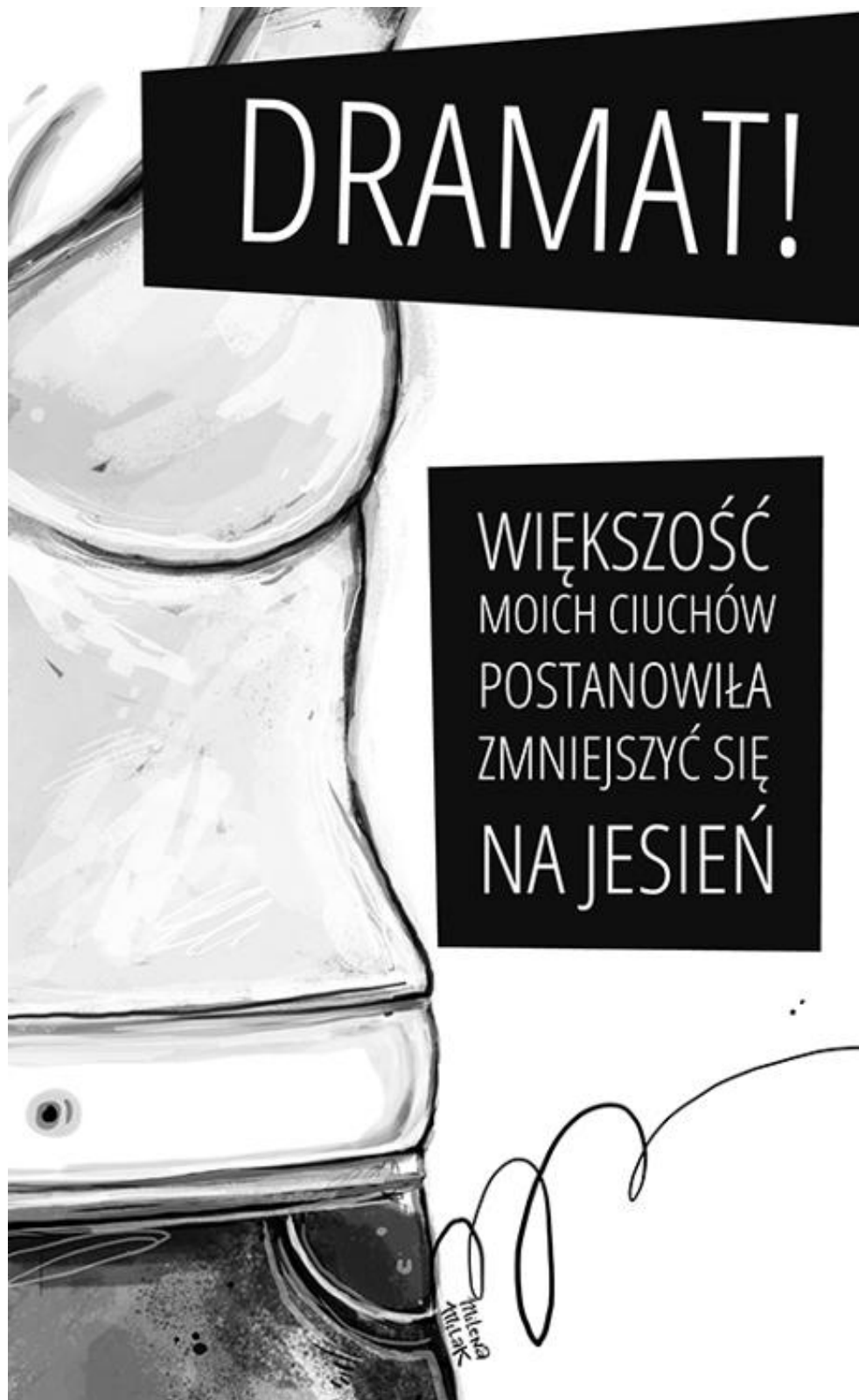
18.

Jesień, deszcz, zimno, gruby „sfeter”, kalosze, cytryna, katar, bolące gardło. Mogłabym tak wymieniać i wymieniać. W Wiśle nie ma wody, sędziowie od AG w chooja wałą, flak znowu mi zaczął dokuczać. Nic tylko siedzieć i beczeć. Bo jeszcze w gratisie dostałam comiesięczną kobiecą przypadłość, o całe cztery dni szybciej, niż powinnam. Mogłabym rzec, że „wymodliłam” sobie szybszą miesięczkę. Co najfajniejsze, wcale nie modlę... Konkurencję wróżbicie Maciejowi robię. No nic, tylko wracać do łóżka, nakryć się kołderką i nie widzieć tego, co się dzieje za oknem. Nic mi się nie chce, nawet podrapać się po dupie. Szanowny tradycyjnie „gdzieś”. Siłownia chyba albo boks... A może miał z babcią na cmentarz pojechać. Głupieję już od nadmiaru wrażeń. Jak to mówią, „nie ogarniam kuwety”. Nawet mi kawa nie smakuje. Co ja mam na obiad? Ach tak, wczorajszy rosół. Też pocieszające. Ale mi się zebrało na marudzenie, co nie? Aż strach czytać. Ooooo.

Jakiegoś bachora pod blokiem ze skóry obdzierają. Ło mam, ale papę drze. „Zoouuuuuostaw mnieeeeeeeee! Nieeeeeee dotykaaaaaaj mnieeeeeeeee! Taaaaataaaaaa chuuuuuuuuj!” Patrzcie, jaki pierdzielony dobrze wychowany (bezsstresowo, jak się domyślam...?). Co to się robi z tymi dziećmi? W dupach się przewraca. Od rodzicielskiego dobrobytu chyba. Nosz zamknij tę japę, bo zebrać

myśli nie mogę. Ciekawe, czego nie dostał? Komórki, 1000 zł czy setnego samochodziku? A tatuś stoi bezradny i nie wie, co począć. Reagować? Nie chce mi się. Zresztą nie mój bachor, nie mój problem. Jest jednak coraz gorzej. „Zaaaaabijjeeeęęęę cięeeeęęęę!” O to mała menda. Teatrzyk Zielona Gęś jak się patrzy. Tyle że za free, bo biletów nie trzeba. Chłopak rzuca się na chodnik. Tatuś siada obok, tłumaczy, prosi, jest cierpliwy. „Spieeeeerdaaaaalaj!” Kres wytrzymałości samca jest blisko. Jakaś babcia wkracza do akcji (one zawsze muszą to robić?!). „Taki mały, a tak brzydko mówi”. „Zoooostaw mnie, suuuuuukkooooooo!” No, słownik wyborczy. Tatuś nie wytrzymuje. Wstaje, bierze gówniarza za fraki, stawia na chodniku i mówi: „Proszę cię, zachowuj się”. Ambitnie, ale dostaje za to od dzieciaka w łeb. Nie mogę na to patrzeć, zamykam okno, zsuwam roletę. Ciekawe, co z niego za terrorysta wyróżnie? Ja bym gówniarza na tym chodniku zostawiła i z bezpiecznej odległości obserwowowała, co się wydarzy. Zresztą nie toleruję takiego zachowania, u mnie (stety, niestety) jest krótka piłka. Moje dziecko w życiu sobie ze mną tak nie zagrało. Czy pamiętacie, żeby takie zachowanie zdarzało się w latach, powiedzmy, dziewięćdziesiątych? Żeby dzieci nie słuchały rodziców, rzucały się w sklepach na ziemię, wyzywały, przeklinały? No ja nie pamiętam. Pamiętam za to klapsy w dupę, jakie dostawałam. I za co. Nie żebym wspierała przemoc w rodzinie, ale zwolenniczką tak zwanego bezstresowego wychowania też nie jestem. Zresztą nie będę się na ten temat rozpisywała,

bo na dziecko jeszcze mam czas, a to, które już urodziłam, nie wymaga ingerencji wychowawczych. Chociaż nie twierdę, że jest bez wad, bo swojego focha potrafi walnąć. Jak każdy facet ;)



Byłam wczoraj u pani od pazurów. Zrobiłam mani-

cure i pedicure. Swoją drogą cudowna instytucja taka kosmetyczka. Prawie jak psychoterapeuta, jeśli oczywiście potrafisz gadać z obcą osobą jak ze znajomym. Ja potrafię. Oczywiście masę rzeczy się u takiej manikiurzystki dowiesz. A kto z kim, a dlaczego, a któredy. Już zapomniałam, jak to jest „pójść na ploty”, hehe. Ale, ale. Miałam się podzielić pewnym odkryciem. Otóż mam problem z delikatnie wrastającymi pazurkami dużych paluchów u stóp, no i dywagowałam z tą babką na ów temat. Taki sposób mi „sprzedała”, że po prostu kopara mi opadła. Już chciałam zgłosić się z tym problemem do chirurga. A tu proszę. Bieriecie płatek kosmetyczny, otwieracie go, uskubujecie trochę tego puchatego ze środka, rolujecie czy tam kulacie w paluszkach, tak aby zrobił się cieniutki rulonik, i wtykacie w to miejsce, gdzie macie problem. Chodzi podobno o to, by podnieść paznokiec. Tadam! Oczywiście raz dziennie, zwłaszcza po kąpieli, musicie ten zabieg powtórzyć, ale pani zapewniała mnie, że warto. Próbuję drugi dzień. Zobaczymy.

Szanowny zawitał, ale już polazł znowu. Zdażyłam mu powiedzieć, żeby rozporek zapiął. „Wietrzę pytonga”. Głupek. To zapewne miało znaczyć: „Tak, kochanie, już zapinam”, wiadomo jednak, że język kobiecy i męski to dwa różne sposoby porozumiewania się. I teraz tak: kobiety wyróżniają kilka słów i sformułowań, których znaczenie przytoczę. „Dobrze”, to wyraz, jakim panie kończą kłótnię, kiedy mają rację. Sygnalizują tym samym, by facet już się zamknął. „Pięć minut”, jeżeli się ubieramy, oznacza

pół godziny. Pięć minut to pięć minut, gdy facetowi wolno pooglądać mecz, zanim zabierze się za coś, o co został poproszony (zmywanie, ścieranie kurzu, wyniesienie śmieci). „Nic” zawsze oznacza coś, na co facet powinien być gotowy. Kłótnia zaczynająca się od słowa „nic” zazwyczaj kończy się słowem „dobrze”. „Proszę! Śmiało!” to prowokacja. Dobrze radzę, nie rób tego, bo to nie pozwolenie, tylko ostrzeżenie. Tutaj należy jeszcze dorzucić głośne westchnienie, będące niewerbalnym stwierdzeniem – często błędnie rozumiane przez facetów („Ona ma cię za idiotę i zastanawia się, dlaczego traci swój czas na kłótnię się z tobą”). Do kolejnych różnie rozumianych słów i sformułowań zaliczamy „w porządku!”, które oznacza nic innego, jak wstęp do zemsty. Jeśli to usłyszysz, to znaczy, że kobieta boleśnie cię ukarze za błąd, który popełniłeś. Do omówienia pozostały jeszcze trzy podstawowe zwroty i słowa. „Dziękuję!” sygnalizuje, że facet nie powinien zadawać więcej pytań, a ostrzejsza wersja: „dziękuję bardzo!” to czysty sarkazm. Na koniec subtelny zamiennik słów „pierdol się”: „jak chcesz!”. I dogadaj się tutaj z facetem, skoro oni i tak nic nie rozumieją! O, zapomniałabym o „nic nie rozumiesz!”. Te słowa oznaczają, że masz mi dać spokój, bo jesteś zbyt durny, bym mogła ci cokolwiek tłumaczyć. Jakieś wątpliwości co do tego, skąd są mężczyźni, a skąd kobiety? Że niby Wenus i Mars. Ja myślę, że ich planeta nie może mieć tak mało skomplikowanej nazwy.

19.

Kwestie otwartości nie nabierają żadnego znaczenia, gdy jest się zamkniętym. Dziś jestem zamknięta na wszelkie argumenty, komunikaty, dyspozycje. Jak ślimak, który zawinął się we własnym domku i tylko sranie jest w stanie go stamtąd pogonić. Czy ślimak sra sobie do skorupy? W sensie do domku? Przecież on tam ma głowę. Jezzzu, przyroda potrafi być niesprawiedliwa...

Szanowny chyba wyczuł, że ze mną dziś nie najlepiej, bo przed finalnym powrotem do domu poszedł w magazyn. Przytargał mi zestaw depresyjny, czyli: chipsy paprykowe x-cut, małą czekoladę, małą czekoladki i czekoladę żurawinową – o której istnieniu nie miałam pojęcia. Na mojej twarzy prawie zagościł uśmiech. Prawie (prawie to się dzieci rodzi dupą...)! Ewidentnie nie mam dzisiaj dobrego dnia i nie sądzę, by te zapasy żywnościowe cokolwiek zmieniły. Niemniej to fantastyczne, że moje stworzenie potrafi stanąć na wysokości zadania, nie wiedząc, co zrobić, ale kombinując, by jakoś wyszło. No dobra (zerkam na czekoladki) – ale tylko jedną!

Z cyklu gadka szmatka: „Przyniosłeś te bilety?”. „Tak”. „Gdzie masz?” „Tam”. „Pokaż!” „Zaraz”. Pogadała dupa z panem. No wie, że mam kiepski dzień, i jeszcze mnie wkurwiać musi. Chwilę temu się przypodobał, a teraz już różki pokazuje. Trzepnę go w beret i się nogami nakryje. Ładne bileciki. Płyta Exclusive, 4. rząd od ringu.

Czyli jak któremuś zęby wypadną, mam szansę złapać. Dobrze, że nie pierwszy, bo wtedy plamy od krwi nieuniknione (na to też mam sposób – wystarczy połać wodą utlenioną i plamy ni ma). Mamy cztery miejsca obok siebie, więc szukać się nie będziemy. Zresztą zobaczymy. Fakt, że odwołałam wizytę u fryzjera, bo ma lać jak z cebra, a za 150 zł sama sobie w domu włosy wyprostuję. Jeszcze dam sobie napiwek! Całe dwie dychy. After party mnie nie interesuje, bo za stara jestem na szlajanie się po klubach nocą. Czekoladka numer dwa właśnie ląduje w odpowiednim miejscu – mojej paszczy. Herbatę se zrobię, zamówię pizzę... Poczytam *101 wymówek*, bo Szanowny zabrał się za *100 pozycji*. Taka będę.

20.

Adoptowaliśmy z Ciapkowa Maxa. Ktoś go wyrzucił maleńkiego w lesie. Jak się pytam, gdzie wy, ludzie, macie mózgi?! Kto normalny zostawia psy w lesie? Powinno się was, debili pierdolonych, wyłapywać i nagich w lesie do drzew przywiązywać! Popaprańce pieprzone. Jakby mi taki w łapy wpadł... Gdzie logika takiego działania? To nie lepiej zawieźć zwierzaka do schroniska? Podrzucić do schroniska? No nie, kurwa, najfajniej w środku lasu. Zero szans na przeżycie. W każdym razie Maxowi się udało. Jacyś ludzie, spacerując czy tam będąc na grzybach, znaleźli go. A teraz jest nasz. Postanowiłam przy okazji wspierać Ciapkowo trochę bardziej zawzięcie niż do tej pory. Robią tam kawał fantastycznej roboty. A psiaków strasznie szkoda. To są właśnie prezenty dla dzieci czy dla innych członków rodziny, pomysły świąteczne. A potem przychodzą wakacje albo zderzenie z odpowiedzialnością i co? Zabijane, porzucane, bite, poniewierane zwierzaki trafiają w najlepszym wypadku do schronisk. Smutno mi poruszać takie tematy, ale w *Codzienniku* i o tym muszę napisać. Życie w końcu. Nie ma lekko. „Ciężko jest lekko żyć”.

Max oficjalnie zamieszka z nami za kilka dni. Nie chcieliśmy brać go teraz, bo mamy pewne plany, a to chyba niezbyt mądrze wziąć psa i zostawiać go samego w domu. Kończąc wywód, jest nas trójka. Dwoje dużych i jeden

mały. Czarny z krawacikiem, na krótkich nóżkach, jamnikowato–kundlowato–miniaturowaty. Całe 1,8 kg szczęścia i radochy.

Disco, disco ponad wszystko. Szanowny jak zwykle bez smyczy lata po okolicy, ja piore, sprzątam, fisiuję. Skąd się biorą kulki na ubraniach?! Takie, wiecie, ubraniowe, kosmate. A może mam zacząć prac ręcznie? O, niedoczekanie. Wtedy bym chyba tylko prała. Szopka praczka. Dwie pralki dziś trzepnęłam, a zazwyczaj robię to dwa razy w tygodniu. Na śmierć bym się zaprała. A te kulki przyprawiają mnie o wariactwo. Potrafię usiąść i wyrywać. Jak debil. Albo wziąć maszynkę do golenia i je golić. Jeszcze większy debil. W ostateczności obrażam się na skulkowane ubranie i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Tak się nasprzątałam, że mi pieprznał kregosłup. Piątek wieczór, przed galą. Od szorowania kanap prawdopodobnie, winne mogą być również okna, parapety, kwiaty. Jak siadłam, tak nie mogę wstać. Jak już wystartuję, to boli niemiłosiernie. I co ja ma teraz zrobić?! Tak, wiem, zawsze mogę się poczołgać, polerowania podłóg nigdy za wiele, zwłaszcza jęzorem, żaden mop nie robi tego tak dokładnie. Gorący prysznic? Szanowny kiwa, że pomoże. Prysznic. Gorący. Nie Szanowny. On ogląda *Batmana*. A jak grają *Batmana*, to w domu niech się pali, wali, Szanowny siedzi wpatrzony w telewizor. Może to syndrom nielota? Czyżby też tak chciał? Mniejsza o większość. Jak ja nogi ogolę? Jak się balsamem posmaruję? Za wysprzątane

mieszkanie taka nagroda?! To niech, kuffa, brudem zarasta, pierdołę, więcej palcem nie kiwnę. Trzepnę sobie piwo, może się rozluźnię, a potem won pod ten prysznic, choćby na czterech. Skoro gorąca woda ma pomóc – niech robi swoje. Oby zadziałała.

Szpilki miałam na jutro w planach. Sukienkę już skreśliłam z listy – znalazłam atłasowe spodnie, nie zamierzam marznąć. Męża już mam... ;) „To śpisz dzisiaj na podłodze?” – Szanowny stoi w drzwiach biura. „A co? Masz randkę z Batmanem i potrzebujesz sypialni?” – syczę. „Oj, no nie wkurwiał się”. „DOBRZE!!!”. Komunikacja zakończona. Siada naprzeciwko mnie, nic nie mówi. „Psik” – pryham na niego, „Psik, psik”. Puka się w czoło, ale wychodzi. No tak, echolokatory wyczuły koniec reklam... Dobra, zbiorę się. Albo nie, za chwilę, dobrze usiadłam i nie boli. Jak struna siedzę. Kij od szczoty w czterech literach. Jeszcze biust naprzód i wylałam piwo. Cyckiem strąciłam. Mnie już dzisiaj nic nie pomoże...

Co się nawyginałam pod tym prysznicem, to tylko ja wiem. Mały by nie uwierzył, że tak można. Lałam tę gorącą wodą dzielnie i namiętnie okolice dupska. Podejrzewam, że gdybym stała tam jeszcze z piętnaście minut, tłuszcz z mojego zadka wreszcie by się wytopił. Nie ryzykowałam jednak, bo przede mną była długa droga do umycia się. Skracając wszystko maksymalnie, dotarłam do golenia nóg. Gir dziś nie dałabym rady zadrzeć, więc sobie siadłam. Na plastikowym krzeselku. I peeling sobie zrobiłam, i giry ogoliłam, i inne części ciała. A jak mi było

miło. Tyle że na siedząco. Pisałam już, jak bardzo brakuje mi wanny?! Jak już się oporządziłam, zawołałam Szanownego do smarowania pleców (jako że solarium musiałam sobie odpuścić, w ruch poszedł jeden specyfik, który, owszem, jest skuteczny jak jasna cholera, ale śmierdzi jak stara ściera – w tym momencie przepraszam panią Kingę Rusin, ale może jednak z tym zapachem coś da się zrobić?!).

Nasmarowawszy wsio, co się nasmarować dało, ubrałam szlafrok i poszłam testować, czy usiądę przed komputerem. Udało się, jak widać zresztą. Piszę, piszę, piszę, ale jedna rzecz nie daje mi spokoju. Jak to, cholera, jest, że ten Batman stał się ważniejszy ode mnie? No przecież nie pogodzę się z taką porażką. Trza zastosować eksperymenta. Idę do korytarza, zapalam światła, przeglądam się. Czekoladowy szlafrok z czekoladką w środku, apetycznie (a przynajmniej ja tak sądzę). Idę dalej, leży mors rozwalony na kanapie. Otwieram szlafrok niczym ekshibicjonista w parku. Nic. Nawet nie spojrzy. Chrząkam. „No co?” Pyta urażony. „Gównno” – odpowiadam. „A co ty się tak rozebrałaś? Gdzieś cię nie dosmarowałem?”. „Gej” – odpowiadam, sznurując szlafrok. „Jeszcze przyjdiesz, żebyś się rozebrała” – dodaje, wycofując się. „Mówiłaś coś?” – pyta po jakichś 3 minutach. Za to też się zemszczę. Zawsze się mszczę ;)

21.

Jak to niektórzy mówią, oczko. A ja bardzo lubię liczby podzielne przez 7, bo mnie się ciągle zdaje, że siódemka przynosi mi szczęście. Dobrze napisałam – zdaje mi się. Pewnie jeszcze rosnę, dlatego mi się zdaje, tyle że wszerz, zamiast wzdłuż.

Robimy ciacho drożdżowe. Pół ze śliwkami, pół z truskawkami. Szanowny ugniótł drożdżówkę, teraz czekam, aż wyrośnie, co by w nią powtykać owocki. Mniam. Opalenizna wyszła bardzo zadowolająca – co prawda Szanowny strasznie narzekał na smrodek, ale przeżył.

Na temat samej gali rozpisywała się nie będę, gdyż były plusy i minusy. Wyjście zaliczamy do udanych, jednak jeśli mielibyśmy wybulić taką kasę na bilety, jaką należało, tylko bym się wkurwiła. Ciekawym doświadczeniem było wejść i wyjść bramą VIP-owską, zobaczyć te wszystkie nadziane forsą mordy, Dode, która instruuje fotografów, poczuć ten sztuczny klimat, jednak co jak co – nie dla nas ten cyrk. My jesteśmy prości ludzie. Za prości ;) Wróciliśmy o 3 nad ranem, bo po tym całym spędzie zaatakowaliśmy McDonalda. Zresztą sam dojazd i wyjazd to był całkowity dramat. Sopot sparaliżowany, a policja stała i dyskutowała, zamiast pomóc ludziom. Co począć, taki kraj, jaki premier.

Z cyklu gadka szmatka – dnia dzisiejszego na wyróżnienie, i to szczególne, zasługuje dialog: „My to jednak

bardzo się kochamy” – Szanowny. „A kiedy kupisz mi samochód?” – pytam. „No aż tak bardzo to się nie kochamy!”... Co wy na to?

Wrzesień ucieka między palcami. Zrobiło się zimno, niektóre dziewczyny z Wizazu już mają ciepłe kaloryfery (domki, domki). Postanowiłam dowiedzieć się, kiedy i u nas będzie ciepło. Odpalają 1 października, co znaczy, że albo zacznę palić ognisko na środku salonu, albo zapuszczę futro, hehe, na plecach. Wczoraj spałam w skarpetkach, piżamce z długim rękawem i nogawkami. Jak tak dalej pójdzie, zacznę zakładać czapkę i szalik. Może i rękawiczki. Tym samym wprowadzę nowy trend w sypialni: seks na Eskimosa. W ubraniach i śpiworku. Koniec z zabawami na wolnym powietrzu i piachem między nogami. Już mi tęskno do kolejnych wakacji.

Łobuz popiskuje. Robi to od samego początku, jeśli tylko na chwilę przestanę zwracać na niego uwagę. Syndrom porzucenia? Wrzuciłam zdjęcie do galerii *Codziennika*, żebyście mogli zobaczyć, jakiego mamy asa. Enjoy!

Marzy mi się masaż. Maszaaaasz – tak z francuska. Żeby mnie kto pogniótl, podeptał, ponaciskał, pogrzmocił, powalił. Brawo, nie to miałam na myśli, ale wyszło jak zwykle. Zboczone z Was osobniki, nie ma co. Kadzidełka, oliwka, jakieś mocne, boskie ręce. Nie napisałam: męskie (!!!). Kobiety też są masażystkami i niejedna osoba dobrze o tym wie (facet czy też kobieta). Mnie dotąd nie masował nikt poza Szanownym i jego poprzednikami. Kiedyś byłam w bydgoskiej klinice ginekologicznej, w której leżały

ulotki masażysty. Nawet poszłam na spotkanie. Ale jak zobaczyłam zakapiora, który był wielkoludem i mogłabym mu, za przeproszeniem, loda trzasnąć na stojąco, stwierdziłam, że moje mięśnie tego nie przeżyją i skapitulowałam. Ostatnio jednak stwierdzam, że nawet u takiego „Ruska” zaryzykowałabym postawienie mnie na nogi. Już wiecie, że skoro napisałam, że mnie się marzy, to znaczy, że to zrobię, pytanie tylko gdzie, kiedy i z kim. Poszperam w necie, popytam, coś znajdę. A potem, rzecz jasna, napiszę, jak było. Chyba w to nie wątpicie? Szanownego nie poproszę, bo mam megafocha za jeden z tekstów, którego przytaczała nie będę, bo mnie chuj strzela, jak tylko o tym pomyślę. Fakt niezaprzeczalny: to foch gigant. Najfajniejsze, że on to czuje do samego szpiku, ba – jest winny i z tego też zdaje sobie sprawę. Próbuje za wszelką cenę się przypodobać, ale nic z tego. Twarda jestem, nie miętka. Dajmy na to – pościel w łóżku jest cała moja, nawet nie piśnie. Idzie po zakupy i nawet nie pyta, co kupić, wsio wie (zazwyczaj muszę kartkę pisać!). Nie domaga się seksu („No chodź, tak, szybciotko...!”), bo mu zwyczajnie głupio. Nie chce ode mnie niczego, ale próbuje dać wszystko (poranna herbata, poodkurzane mieszkanie, świeże pieczywo). To sobie poczeka. Tym razem sprawdzę jego cierpliwość, a wierzcie mi, należało się skubańcowi za tę niewyparzoną gębę.

22.

Jakie to uczucie, kiedy wdepniesz świeżą, białą skarpetką w kałużę moczu? Bezcenne. Odechciewa się od razu wszystkiego. I na dodatek Łobuz zrobił to pod moim biurkiem. Konsekwencji jednak wyciągała nie będę. Nasza mała „znajda” aklimatyzuje się i raczej wszystko jej wolno. Piszcząc wolno, gryźć wolno, srać i szczać gdzie popadnie wolno. Raj. No ale jak się ma te parę tygodni, można to zrozumieć. Sama chciałam. Żałowała nie będę, ale odczuwam pewną konsternację, zwłaszcza że na początku *Codziennika* wyraźnie pisałam, że tolerancję w stosunku zwierząt i dzieci mam ograniczoną. Dziwna jestem. Porąbana. Durna baba. Stara baba! :) Dobra, dobra, nie zaczynam!

Szanowny w innym pomieszczeniu. Telewizję ogląda. Wcześniej usiadł przy swoim biurku (mamy złączone, jesteśmy twarzami do siebie, chociaż z chęcią dupę bym w jego stronę wypięła za ten numer, co zrobił), próbował zagadać: „Przyjdiesz do mnie?”. „Z ilustratorką rozmawiam”. Gapił się dalej. Zaczęłam go przedrzeźniać: „Poza tym tyle papierów mam do wprowadzenia i sprawdzenia, że na pewno nie przyjdę”. Spuścił wzrok. „Będę czekał”. „Powiedziałaś, że nie przyjdę, ogłuchłeś?” „I tak będę czekał”. Kajaj się, kajaj. Niewiele Ci to da, ale przynajmniej będzie o czym pisać. Właśnie tacy (oni – faceci) są. Jak trwoga, to mało na kolanach do Częstochowy nie

pójdą, ale zanim coś pieprzną, nie pomyślą. No to co? Posypać drogę pinezkami?

Porządek na moim biurku zacny. Właśnie spadł zegarek, bo szukałam pióra. Jakby to zobaczyła perfekcyjna pani domu, padłaby na swój śliczny ryjek. W kolejności od prawej do lewej, z centralnym miejscem na komputer, znajdują się: dwie szklanki, pusta butelka po wodzie mineralnej, pudełko z pinezkami, kalkulator, dwie paczki papierosów, zszywacz, myszka, podkładka pod nią, kalkulator. Teraz laptop (centralnie), a poniżej tabela klientów plus długopis. Z lewej jest totalny dramat, bo kilkudziesięciu rzeczy pod spodem nie widzę, ale na wierzchu znajdują się: trzy pieczątki, wspomniany zegarek, popielniczka, dwa kubki z pisakami i długopisami, korektor, opaska, aparat, ładowarka do aparatu, kalendarz, miarka (?!), jakieś leki na flaka bolącego oraz stos papierów. Zrobiłabym zdjęcie, ale mi wstyd. Kiedy ja się taką bałaganiarą robiłam – nie wiem. Za to mam pewność, że ta moja twórczość jest wszystkiemu winna. Rzuciłam właśnie okiem na biurko Szanownego i u niego sytuacja wygląda zadziwiająco dobrze. Widać blat. Dużo blatu widać! Wszystko ładnie ułożone. Jeśli biurko faceta jest uporzędkowane, musicie wiedzieć, że coś się dzieje! Co ja pacze, Szanowny ma porządek, a ja burdel. No nie do pomyślenia.

PORZĄDEK MAM ZACNY



WŁAŚNIE SPADŁ ZEGAREK,
BO SZUKAŁAM PIÓRA

Oho, mamy akcję. „Chcesz coś?” – staje przy biurku. „Nie”. „Nic? Piwa, wody?” A to cwaniaczek, na wodopój mnie bierze. „Piwa” – miękne. Wyciąga zza siebie puszkę. O to łotr. „Dziękuję, możesz odejść” – udaje, że nie zrobił czegoś, czego bym się nie spodziewała. Pisałam już? Na kolanach by poszedł na południe kraju, ale nu, nu, nu. Ciekawe, co ogląda? *Batman Bis?*

Nos mnie boli, pewnie coś mi wylezie. W gardle drapie, będę chora. Cały dzień siedziałam przy uchylonym oknie, wiało mi, ale doooopy się nie chciało ruszyć, żeby zamknąć. Kichałam zresztą po południu. Znaczy, że będę pociągająca, ale zniosę to dzielnie. Choroba u kobiety i u mężczyzny jest przechodzona inaczej, ale każdy to wie. Moment, moment, Szanowny też dzisiaj stękał, że chyba będzie chory, bo mu zimno. A może to wczoraj było? W każdym razie my – „macice” – obchodzimy się z chorobą niczym z plamą. Tu trzeba posypać, tam trzeba wyprać, wywiesić i gotowe. A faceta podejście to tej samej plamy – czytaj: choroby – jest diametralnie inne! Plama. „O Jezzzzzu, ale mam plamę, co ja teraz zrobię? Nie wiem, jak się jej pozbyć. Czy ktoś mi może pomóc...” Jak się już za tę plamę (chorobę) zabierze, to dalej: „Czy to na pewno zadziała? A może zostaną ślady? Jak to będzie wyglądało? Czy to w ogóle zejdzie?”. Jak już się wyleczy, uda, że cała sytuacja nie miała miejsca. Znow będzie pierwszy do pouczenia, w sensie: „No przecież mogłaś Vanisha nalać i zostawić przed praniem na pół godziny...”.

Akcja numer dwa. Przyłazł. Zasiadł u siebie. Klika

myszka. Pisze. Coś pisze. Mruga. Ślinę przełknął. Złapał się za czoło. Kontakt wzrokowego brak (podglądam go, udaję, że piszę). Drapie się po łbie. Oho, gapi się. Uśmiech. Jestem twarda, kąciki mi drżą, ale w końcu ich nie unoszę. Cisza trwa. Teraz ja się gapię. On się też gapi. „Jak ci idzie?” – pyta. „Co?” „Pisanie”. „Normalnie”. Gapi się dalej. „Co się, kurwa, gapisz?” – pytam. „Chcesz coś?” Słaby chwyt. „Nie, idź sobie stąd”. Uśmiecha się, ale wychodzi. Kretyn jeden. Kaszelek dołączył do drapania. Mam kaktusa i piórko w gardle jednocześnie. Witoj, jesieni.

23.

Teraz będzie o paprochach. Farfoclach inaczej, czyli tym, co zbiera się tylko i wyłącznie facetom – w pępku. Czy któraś z kobiet miała kiedyś farfocla w pępku? Nie. Czy Wasi faceci mają farfocle w pępku. Mają! Otóż to! Pytanie tylko, jak to się dzieje, że tkaniny zazwyczaj są te same, budowa ciała też, a jednak w ich pępkach zawsze się coś znajdzie, a w naszych nie. Fenomen. Mogę dodać, że pod męskim pazurami zawsze się zaplącze paproch bądź farfocel ze skarpetek (widoczny zwłaszcza po czarnych!), ale przedmiotem moich dzisiejszych przemyśleń są właśnie te z brzucha. Mam swoją teorię, ale nie wiem, czy słuszną. No bo brzuchy facetów są zazwyczaj okłaczone, prawda? Szanowny ma akurat na brzuchu sporo kłaków – można by sweterki pleść, ale to nieważne. Zmierzam do tego, że włochy na brzuchu jakąś tajemniczą siłą przyciągają do siebie cząsteczki odzieży i jak już się ta odzież przyciągnie, to się po tych kłakach do pępka ładuje. Ruchem, jak sędzę, określonym. I potem jak ci się taki facio ze swetra rozbierze, pierwsze, co widzisz, to pompon w brzuchu. To prawie jak kleks na slipkach (o tym innym razem). Niby się zdarzyło, a nie wiadomo, czy to wstyd, czy jeszcze granica absurdu. Naszło mnie, bo idzie jesień, a jak jest jesień, wkładamy „cięższą” odzież. Panowie, sprawdzajcie, czy macie farfocle, zanim się rozbierzecie „na seks”. To jak z natką pietruszki na przednim zębie –

pewnie o niej nie wiecie, a powinniście.

Szanowny znowu nadszedł. Słyszałam, jak wyłączał telewizor. „Kiedy masz najwięcej farfocli w pępku, zimą czy latem?” – pytam. „Zimą, po noszeniu koszul i koszulek pod spodem”. Aha. Przynajmniej nie protestuje, że je ma – bo przecież to by było kłamstwo w żywe oczyska!

24.

Wkurw targa mną dzisiaj nieziemski. W sumie zaczęło się już w nocy, kiedy Łobuz przy akompaniamencie Szanownego chrapał, jakby ważył 200, a nie 2 kg. Wypieprzyłam obu koło trzeciej nad ranem. Oczywiście później, jak rzuciłam się w objęcia Morfeusza, nie mogłam wstać i spałam do 11. Śniadanie zeżarłam o 13, ale wtedy Szopen zasiadł do swojego urzędu i odechciało mi się wszystkiego. Noż kurwa mać, nawet w sobotę nie odpuści pierdolony cing, ciang, ciong. Szkoła muzyczna w bloku, w XXI wieku. Kupię sobie wreszcie jakąś trąbkę, bo ochujeję. Szczytem wszystkiego była la Parma z piaskiem (!!!). Jakiemuś pseudokucharzynie nie chciało się rukoli umyć i wierzcie na słowo, żeby mi się chciało, tobym poszła do tej restauracji i zrobiła karczemną awanturę, ale miałam lenia, skorzystałam zatem z możliwości opierdolenia mobilnego. Niestety, nie było „pod słuchawką” właściciela czy tam menadżera, a jak już zadzwonił, to moje emocje opadły. Co prawda powiedziałam, co wiedziałam i na temat tej ziemi, i na temat pseudoparmezanu, który od jakiegoś czasu wciskają do pizzy, finalnie jednak odłubiłam San Marino na Facebooku i nie dałam się przekonać, że wynagrodzą mi to kolacją w iście włoskim stylu. W dupę mnie pocałujcie, głodna jestem. I chciałam zeżreć la Parmę, a nie deskę serów.

Późnym popołudniem poszłam zmyć z siebie całą tę

frustrację, ale oczywiście strumień wody razy był ciepły, raz zimny (piąte piętro). Siadłam zatem do *Codziennika*, gotowa popełnić zbrodnię przeciw ludzkości.

O czym to ja miałam? Aaaaaa! Przypomniało mi się. O rysunkach. Na razie zaproponowałam dwóm rysowniczkom współpracę przy *Codzienniku*. Jedna jeszcze się nie określiła, druga nie odpisała. Jak się wkurwie, to se sama coś nabazgrzę i tyle. Szanowny schodzi mi z drogi, widzi chyba, że kipię. „Coś ci zrobić?” – no patrzcie, drugi dzień ta sama płyta. „Nie”. „Zniknij” – myślę, ale nie mówię tego na głos, nie chcę być skończoną suką. Poddałam się również, jeżeli chodzi o oglądanie jakichkolwiek stron w necie (poza dogorywającym Facebookiem), bo albo ślub Kwaśniewskiej (a co mnie on obchodzi?!), albo zewsząd wyłaząca Siwiec. Jakby nie było innych tematów. Pożywką to dla mnie nie jest, kapituluję, dziękuję, postoję. Założyłam ClipClip–owi fan pejdzę, pozapraszałam, kogo się dało, wysłałam pełnomocnictwo do kancelarii patentowej i gibam się, gibam. Może pójdę coś zjeść, napiję się czegoś dobrego, pooglądam coś głupiego i wróci mi wena? Może, może. Morze (jak to było?) jest głębokie i szerokie? Heheh.

Facebookowi też podziękowałam (Kwaśniewska wyłazi we wszystkich aktualnościach). Porzygać się można, ot co. Warczę i furczę na Szanownego, bo po pierwsze, nadal mi nie przeszło (po jego występku), a po drugie, zaiste wstałam dziś lewą girą. Stwierdziłam, że spróbuję namówić Prokopa do współpracy przy ClipClipie. On jest tak

cholernie pozytywnym stworzeniem, pasowałby idealnie. Powracając do mego gniewu: my kobiety jesteśmy pamiętliwymi mendami, które w zależności od powagi przewinienia ukarzą winowajcę w iście fantastycznym stylu. Ja tym razem z premedytacją wydaję polecenia, nie używając przy tym ani „proszę”, ani „poproszę”, ani „dziękuję”, ani niczego innego. I tylko śmiać mi się chce, jak Szanowny wewnątrznie się gotuje, bo słyszy piątą komendę pod rząd, ale słówkiem nie piśnie, wie, że z góry jest przegrany. Miłość jest trudna i powoduje, że czasem odkrywamy nowe pokłady cierpliwości w stosunku do naszych połówek, jak i nas samych. Miłość – fascynacja drugą osobą, idealizowanie jej, potrzeba wspólnego spędzania czasu, planowanie przyszłości, wzajemne składanie obietnic, często towarzyszą jej uczucia takie jak zazdrość i tęsknota, zwykle kończy się rozstaniem. No nie wytrzymię dziś ze sobą, no jak małą kocham! „Piwo mi daj” – zażądałam. Karnie poszedł do lodówki, po drodze otworzył. Ciekawe, ile wytrzyma, gdzie jest jego granica? „Szklanek chcesz?” „Tak”. Przynosi fioletową. „Co, kurwa, taka mała, z zielonej zawsze piję!” Uśmiecha się do siebie. Wyszczerszam zęby. „No co? Ogłuchłeś?” Uśmiech znika z jego twarzy...

Właśnie wkleiłam dziewczynom kolejny fragment w klubowym Wizaju. Stwierdzam, że naprawdę jestem zestresowaną starą rurą, która w dniu dzisiejszym nabluźgała we własnym *Codzieniku* jak kurwa przy drodze. Wybaczcie? Wybaczcie. Każda z nas ma prawo dostać

czasem wściekлизny, takie już jesteśmy. Kobiety. Wącham szklanke, bo coś mi nie pasuje. Szanowny cichutko się śmieje. „Śmieszne?!” – pytam. Już się nie śmieje.

- JĘZYK KOBIECY -

NIC → BĄDŹ GOTOWY

DOBRCZE → KONIEC KŁÓTNI

5 MINUT = **PÓŁ
GODZINY**

**PROSZĘ!
ŚMIAŁO!** → PROWOKACJA

W PORZĄDKU → WSTĘP DO
ZEMSTY

JAK CHCESZ → PIERDOL SIĘ

**NIC NIE
ROZUMIESZ** → DAJ MI
SPOKÓJ!

25.

„Newsweek” zapodał okładkę z całującymi się facekami w sutannach. Podpis: „Seks po Bożemu. Kościół potępia gejów, ale toleruje homoksięży”. Dobrze, hehe, wdałam się nawet w awanturę z jednym klechą na Wirtualnych Mediach, gdzie zdjęcie zostało zamieszczone. Bo dla mnie to pedały w sukienkach czy tam sutannach i koniec kropka. Jeszcze za czasów religii w kościele (jak byłam mała) księdza interesowało tylko to, czy dziewczynki przyszły na zajęcia w spódniczkach, a jeśli tak, to w jak krótkich. A po kolędzie po co przychodził do domu ksiądz? Po kopertę. A za uroczystości kościelne niby co łaska, ale nie mniej niż 200 zł. Ksiądz ma wszystko: wypasione auto, superwypłatę, dziwki do dyspozycji. No litości, aż się zbulwersowałam. W bloku mojej mamy mieszka taka kapitalna rodzinka. Matka ze szmatą w kościele jeździ, syn od małego był ministrantem, a potem na księdza poszedł. Raz na pół roku furę zmienia i tylko jak przyjeżdża do mamusi, to po nocach do hotelu na pieszo chodzi. Rudy zakłamaný kutas. A ta afera w liceum salezjańskim, że sobie księża każą kolana z bitej śmietany oblizywać? No kurwa mać, kto to widział? Zresztą, tu ksiądz pedofil, tam ksiądz pedał, gdzieś indziej ksiądz złodziej z dwójką dzieci na boku. A z nas ludzi robi się idiotów, że niby to pojedyncze przypadki. Tyle że to zaraza niczym wszy w przedszkolu. Zresztą jakby mnie przez lata zmuszali do celibatu, to też

by mi odwaliło. Nieopodatkowana zbiórka pieniędzy kusi. Dla mnie instytucja Kościoła czy tam księdza nie istnieje. Wiarę ma się w sobie i nie potrzeba nikomu do tego klechy. Nawet jeśli ów ksiądz nie jest z tej samej parafii co te skurwysyny, o których pisałam wyżej.

Widzicie, jaka jestem zestresowana tym durnym przekazem, jaki się nam wpycha? Krew we mnie wrze, jak o tym piszę. To samo z polityką. Darmozjady pierdzielone. Pożyliby tacy za najniższą krajową, to inaczej by śpiewali.

Zrobię risotto ziemniaczane z pieczarkami i rukolą. Pycha. Oczywiście podzielę się przepisem i zdjęciami. Bo to proste, dobre, rozgrzewające i odstresowujące danie. Szanowny won na szoping, a ja do kuchni.

26.

Dziś będzie o torebkach, a właściwie mojej torebce, ale zapewniam, że po raz kolejny znajdziecie co najmniej kilka podobieństw do siebie (panie, no bo panowie – nie sądzę, zwłaszcza w kwestii tamponów czy podpasek w biegu wrzuconych do środka)... Wszystko zaczęło się od tego, że Szanowny szukał o 8 rano dokumentów od auta (w celu odstawienia go na przegląd do serwisu). Wiem, że nie chciał mnie budzić i starał się być delikatny. „Kici...” Otwieram oko. „Gdzie masz dokumenty od samochodu?” – pyta cicho. „W torebce!” – zakrywam poduszką głowę. „Ale której?” „Tej dużej”. „Której dużej?” Ma rację. Trzy duże stoją w przedpokoju. Wstaję, człapię do toreb, wybieram największą, podaję mu i kładę się ponownie. Patrzy przerażony (nienawidzę, jak mi się grzebie w torebce). Mówię do niego: „Dziś możesz, tylko daj mi spać”. Dostaję całusa w główkę. Tinky Winky wychodzi z fioletową torbą pod pachą.

Jakąś godzinę później wstałam na dobre, Szanownego nie było. W jadalni na stole liścik oraz poukładane rzeczy (znaleziska torebkowe). „Masz mistrza świata” – pisze. Oho, będzie ciekawie. Przyglądam się temu, co wykopał: portfel, wizytownik, okulary, kalendarz, dwa długopisy, gumy do żucia, zestaw tabletek, mała butelka wody, perfum. To jeszcze normalne. Wkładki higieniczne, chusteczki do rąk, podpaska. W miarę. Kalkulator, zszywacz,

taśma klejąca. Gorzej. Czekoladka malaga, pół marsa, baton proteinowy – rozpoczęty, żeby nie było. Miarka czy tam centymetr, mały śrubokręt, pudełko pinezek i uwaga! kret do rur w saszetkach i widelec. Taki normalny kuchenny, a żeby mu smutno nie było, stary pilot od telewizora. Jestem zdruzgotana. Próbuję sobie przypomnieć, czy aby nie wrzuciłam pilota przez pomyłkę zamiast telefonu komórkowego, ale taki błąd kwalifikowałby się do wizyty u lekarza. Rozumiecie: kolejka w sklepie, dzwoni gdzieś komórka, a ja wyciągam pilota i przykładam do ucha... Jaki z tego morał? Jak czegoś zabrakło w domu bądź coś się zapodziało, sprawdźcie, czy nie macie tego w torebce. A teraz praca domowa: idźta do swoich torebek i sprawdźta, co w nich mata. Znależiska torebkowe to jest to!

Maile rozesłane, Kancelaria Patentowa załatwiona, kawę dostałam (Szanowny zrobił), ale co to? Szopen... No ja normalnie wymiękam. Dzwonię do administracji, babka mi mówi, że wezwali ich pisemnie. Stawili się, ale poza ostrzeżeniem, że mieszkańcy się skarżą, nie może nic zrobić. Na pocieszenie dodaje, że ponoć dziecko już tak chętnie nie gra jak kiedyś (matka się żaliła). W sumie się nie dziwię. Chyba będę musiała wytoczyć inne działa, ale jak mam iść z tym do sądu, to się grubo zastanowię. Wygląda na to, że trochę wstydu i sprawa sama się rozwiąże. Ostatecznie pójdziemy schlać sąsiada z czwartego piętra i zrobimy imprezę nad pianistami. Będą bębny, trąbki, śpiewaczki operowe i co tylko możliwe. Chciałaś wojny,

będziesz ją miała :)

Myślałam, myślałam i wymyśliłam. Na początek zamiast wzywać stróżów prawa (to wstyd!), postanowiłam zakupić fortepian (taki mały, drewniany) i postawić im na wycieraczce. Wiecie, co będzie w tym fortepianie? Dokładnie tak: gówno. Szanowny leje ze śmiechu, mina mu rzędnie, jak się dowiaduje, że to on ma do niego nasrać. Opowiedział mi, jak do jego rodziców kiedyś zapukał chłopak po pieniądze. Rodzice nie dali i spotkała ich podobna kara. Chłopczyna zostawił zawijasa na wycieraczce. Moje działanie jest zatem i humanitarne, i delikatne, i konkretne. Niczym przekaz XXI wieku, a jak to nie poskutkuje, przejdę do planu D. W kolejności chronologicznej były (lub będą na dniach): A – awantura bezpośrednia, B – interwencja w administracji, C – operacja „Kupa”. Szkoły muzycznej nikt w mojej klatce urządzał nie będzie! Mam prawo do spokojnego mieszkania. O. I chooj wielki, dwa bąbelki!

Starczy tych kombinacji alpejskich, pora zabrać się za teksty na stronę ClipClipa. Chłopaki z Owocnych dali radę. Cytuję: „Jeśli masz buty o różnej stylistyce, często nosisz je na zmianę, najwygodniej będzie kupić od razu kilka wariantów – dzięki temu buty pozbawione tej innowacji nie staną się zazdrosne i nie podstawią ci nogi :)”. Miszcie. Copyrajetry kochane.

Koło północy mało na zawał nie zeszałam! Noż kurwa mać, komunikacja pomiędzy mną a Szanownym okazała (by!) się katastrofalna w skutkach. Projekt ClipClipa doj-

rzewa sobie, strona się robi, grafika się robi, Facebook się robi, a tu taki szok... Nie ma domeny, zajęta, zapomnieliśmy kupić, chociaż informatycy dwa miesiące temu pisali wyraźnie (odkopałam malia): „KUPIĆ”. I co? No wišta wio. Domeny nie ma, sprawdziłam – wisi na jakimś francuskim serwerze. Żrenice mi się rozszerzają, zwieracze prawie puszczają. Pytam wujka Google, czyja jest domena. Okazuje się, że Michała... (kolegi). Dzwonię: „Masz domenę ClipClip?” – pytam. „Ciekawy byłem, kiedy się skapujesz” – śmieje się. Kamień spada mi z serca, kończę rozmowę i wkraczam, a właściwie wbiegam w furii do biura. „Czyja jest domena ClipClip?!” Szanowny patrzy niczym sroka w gnat. „Zaraz sprawdzę”. „Nie musisz! Nie nasza!” – drę japę. „Kurwa, jak mogliśmy do tego dopuścić?! To jest właśnie nasza komunikacja!” Patrzy dalej. Wychodzę, pierdolnąwszy drzwiami. Ręce i cycki mi opadły. Wszystko mi opadło... Teraz dochodzę do siebie. Lekko nie było, bo żyły mi się skurczyły, ale jest OK. Oddychaj głęboko. Na trzy wdech, na siedem wydech (bo przecież nie na sześć...).

27.

Co by dużo nie gadać, wczorajsza sytuacja plus wcześniejsza dodatkowa spowodowały, że w tym momencie mam założone słuchawki na uszach (Dizkret-Praktik – 3). Patrząc na Szanownego (siedzi vis-à-vis, ale to wiecie) i znad ekranu mojego komputera tańczę dwoma palcami. Prawej i lewej ręki. Fakjukami tańczę w jego stronę. Śmieje się, ale mnie do śmiechu nie jest. Pewna granica została przekroczona i pora definitywnie rozdzielić nasze sprawy zawodowe. Zamykam oczy. Saksofon robi swoje, niech gra, niech nie przestaje. Podkręcam na full. Nie chcę o tym wszystkim myśleć, muszę się wyłączyć. Tylko ja i muzyka (mógłby wyjść z biura i zostawić mnie samą). Tylko ja. Bez niego i jego niedociągnięć... Przeleciało mi właśnie przez myśl, że jak tak dalej pójdzie, to go rzucę. Oj. Nie jest dobrze... A co z aktem notarialnym? A co z firmą? A co z psem? Kurwa mać! Przeraziła mnie ta myśl. Życie bez Szanownego. W pierwszej chwili chciałam napisać: „Życie bez stresu”. Ale to naprawdę nie wróży niczego dobrego... W słuchawkach *Stay On This Roads*. Czyli jadę po bandzie. Może młodszy facet to jednak nie TO?

Cztery dni później mój żal wcale nie jest mniejszy, a raczej jest jeszcze większy. Tym razem tak dam Szanownemu popalić, że zapomni, jak się nazywa. Przyniósł dzisiaj różę, którą z dziką satysfakcją kazałam najpierw

sobie wsadzić w dupę, a potem podarłam ją na strzępy. „Jeśli myślisz, że przyniesiesz kwiatek i wszystko wróci do normy, to się, kurwa, grubo mylisz” – rzucam. Potem czeka na mnie w salonie list, że niby mu przykro, że przeprasza. Miseczka, list pomięty, pali się. Nawe ładnie. Leci z biura niczym strzała. „Co się pali?!” „A jak myślisz?!”... Nie daję mu cienia szansy, teraz dopiero pozna moje wewnętrzne JA i przekona się, co znaczy mieć wkurwioną „sukę” w domu. Szkoła przetrwania to pikuś. Pan Pikuś. A na dobranoc komunikat w swoim zajebistym biznesowym kalendarzu: „Jesteś dupkiem i cholerną świnią”. Plus narysowany świński ryj. Trzy do zera dla mnie.

28.

Trochę się ostatnio opindalam w pisaniu... Ale zakupiłam dzisiaj zeszyt, by móc go targać ze sobą wszędzie i w wolnej chwili skrobać. Potem przepiszę na kompa i tadam! Wczoraj miałam taką sytuację, gdy siedziałam w poczekalni u dentysty (wstęp do licówek rozpoczęty), że zeszyt by się przydał. Tak więc siedziałam, siedziałam, milion myśli kłębiło się we łbie. Akurat jakiemuś facetowi przedłużyła się wizyta i trafiłam na dźwięk wiertła. Nie wiedziałam do końca, czy usiąść i być dzielną, czy raczej czym prędzej brać nogi za pas i spierdalać w podskokach. Gdybym była sama, pewnie wymyśliłabym superważny powód do przełożenia wizyty (tchórzofretka ze mnie wzorowa), ale Szanowny Towarzysz wyczuł pismo nosem i zajął mnie kolorowymi gazetami. Dobry Szanowny, nic, tylko pogłaskać za uchem, ewentualnie potarmosić po brzuszku. A propos, da się w ogóle potarmosić brzuch?

Siedząc już na fotelu dentystycznym, tradycyjnie panikowałam, zagadując panią doktor. Ta jednak, niewzruszona, nakazała przygotowanie znieczulenia i obniżyła fotel do pozycji leżącej. Za chwilę powróciłam do pozycji siedzącej, aby sekundę później znów leżeć. „Pani doktor to mnie teraz za karę będzie bujać góra – dół?” – pytam. Roześmiała się. „Otwieramy buzię i już nic nie mówimy” – poleciła. „Będzie gula w gardle” – usłyszałam. Widząc moje rozszerzające się ze strachu oczy, pani doktor szybko

dodaje: „Uczucie guli będzie, nie gula”. Robi mi się gorąco. „Jak zemdleję, to mnie przecież będą ratować, nie?” – myślę. Po 20 minutach było po wszystkim. Siódemka nie wymagała poważnej interwencji, a ja przypomniałam sobie jedną rzecz. Zawsze jak jestem u pani doktor, zapominam jej powiedzieć, że w państwowej karcie mam wypisane na karcie czerwonym flamastrem zdanie: „UWAGA, GRYZIE”. A może lepiej, że jej tego jeszcze nie mówiłam...?

W nagrodę w czwartkowy wieczór poszliśmy na masaż. Taki masaż dla pary, 30 minut. Jego masowała pani, mnie pan (to po to, że niby mają się zgadzać plusy i minusy oraz jakieś bieguny). Wszystko byłoby fajnie, gdybym całe dwie godziny po masażu nie widziała podwójnie. To pewnie przez ściśniętą twarz w tym kole, co się w nie łeb wsadza. Wrażenia Szanownego: „Ale mnie ta baba wkurwiała, jak wiatr udawała” (oddychała rzeczywiście głośno, ale nie miałam odwagi podnieść głowy, żeby zobaczyć, co wyprawia). „Właśnie miałam cię o to spytać, bo dźwięki wydawaliście co najmniej idiotyczne. Twoje kłapanie, jej oddychanie. Dziwna kombinacja” – mówię. „No to lepiej nie pytaj” – Szanowny szczyrzy kły. Nie zapytałam. Za to byłam na tyle zrelaksowana, że po kąpieli zaciągnęłam go do łóżka. Podświadomie chyba chciałam sprawdzić, czy jego jaja są pełne (bo przecież powinny!). Były. Jeszcze kilka dni, a z jaj byłyby zbuki...

29.

Dramat w domu. Ale taki prawdziwy. Większość moich ubrań postanowiła zmniejszyć się na jesień. Próbowałam wykopać coś, czego dawno na sobie nie miałam. Za mała ta bluzka. Ten sweter też. Ta bluzka podobnie. I następna, następna, następna...! W furii zaczynam wywalać wszystko po kolei, wrzeszcząc: „Za małe! Za małe! To też za małe! To też za małe! I to, kurwaa, też za małe!”. Na łóżku zbiera się spora kupka lumpów.

Szanowny wraca do domu. „A co ty robisz?” – pyta. „Lumpeks otwieram” – syczę. „Czemu?” „Bo wszystko jest na mnie za małe!” – lamentuję. „Ale za to masz teraz tyłek, a nie kości”. „Won, potworze, wynocha! Sio! A kysz!” – wyrzucam go z sypialni. To mnie, kuźwa, pocieszył. Ciuchy mają dobry rozmiar, to mnie przybyło. Muszę wrzucić je do jakiegoś worka i głęboko schować, bo depresji ubraniowo-wagowej dostanę. Trza stanąć przed lustrem, popatrzeć sobie w oczy i odważnie stwierdzić: „To ja, waleń pospolity, prosię opasłe, gruba Berta”. Uświadomienie sobie problemu to podobno podstawa.

Żeby dobić mnie totalnie, Szopen rozpoczął właśnie koncert. Rzucam się do biura, głośniki stawiam przy ścianie i na full włączam płytę ATB. Widzę, że operacja „Kupa”, przeprowadzona kilka dni temu, niezbyt wyraźnie dała państwu do zrozumienia, że sąsiedzi słabo tolerują filharmonię (i to marną) w klatce. Wpakowałam – tak jak

pisałam wyżej – kawałek gówna do drewnianego fortepianu (30 cm wielkości) i zniosłam na ich wycieraczkę. Kupy nie było widać, bo znajdował się w środku... Resztę szczegółów sobie daruję. Zdjęcie nawet cyknełam, ale jest niewyraźne (wiecie, gdzie szukać). Pieprzeni terroryści fortepianowi. Muszę wymyślić coś lepszego! Innego. Dosadniejszego! Czy jest tu jakiś prawnik, który może mi pomóc za drobną opłatą? Oszaleję kiedyś.

30.

Strasznie mi się dziś papa drze. W sensie ziewam jak wściekła. Raz, że chyba się nie wyspałam, dwa, że źle spałam (łopatka mnie boli), trzy, że od rana (jest 11, więc to raczej średnie rano) Szanowny podnosi mi ciśnienie. Tydzień do okresu. Toż to PSM!

Wiecie, co zrobiłam z okazji tego wkurwa? Pojechałam wydać trochę ciężko zarobionych pieniędzy. To najlepsze lekarstwo. Jak zobaczyłam jednak te tabuny ludu w Fashion Housie, spieprzałam stamtąd szybciej niż od dentysty. Odbiłam sobie za to w Klifie, na tyle poważnie, że gdzieś po drodze zgubił mi się Szanowny. McDonald. Ma się rozumieć, mam wolną rękę. Trudno. Dzięki temu mamy teraz między innymi nowe talerze, świeczniki i szklanki.

Teraz żeby się dobić, oglądam katalog Weltbild (wspominałam, że po wysłaniu im fragmentu *Codziennika* odpowiedzieli, że nie są zainteresowani publikacją? Odpisałam z satysfakcją, że wydawcę to ja już mam i pies im mordę lizał. Nikt więcej się nie odezwał). Strażnik wagi. Ooooo. Policjant na baterie (do lodówki), który wyje i świeci, jak w nocy otwierasz lodówkę. „Mam coś dla ciebie” – czytam Szanownemu opis produktu. „Tyle że naszym problemem nie jest podjadanie w nocy, a raczej jedzenie w dzień wysokokalorycznych produktów” – odpowiada. „Naszym?!” – jestem gotowa do ujadania, ale nic

nie mówię. „Nie kupiłam sobie chipsów” – markotna mina. Szanowny wstaje. Otwiera magiczną szafeczkę. „Jest ptasie mleczko, chcesz?”. „Chipsy chciałam”. „To se frytki zrób”. Pojechał po bandzie.

31.

Niedziela. Tym razem nie leniwa, lecz konstruktywna, mimo że spędzona w piżamie. Powypieprzałam wszystko z szaf (bo za małe) – kilka dni temu tę całą stertę wpakowałam z powrotem do szafy, licząc chyba na cud. To, co wartościowsze, wystawiłam na sprzedaż, a to, co takie sobie, wrzuciłam do worka i ukryłam w kanapie w biurze. Może mama zabierze, jak przyjedzie, i odda jakimś ludziom. Wynik? W mojej szafie jest przestrzeń, to znaczy, że zrobiła się prawie pusta. Słowa „nie mam się w co ubrać” nabrały nowego, uzasadnionego znaczenia. Tak, tak, wiem, że wczoraj byłam na zakupach, ale w porównaniu z tym, co dziś zutilizowałam, nie kupiłam prawie nic. Stuprocentowa baba.

Tak ześwirowałam z porządkami, że machnęłam lustro, parapety, sypialnię, a teraz siedzę i piszczę, że mnie kręgosłup boli (starość!). Wracając do tematu ubrań: czy Wam też się zdarza kupić coś „oczami”? Bo ja, sądząc po niektórych znaleziskach, robię to wcale nie tak rzadko. Owo odkrycie dało mi do myślenia, jednak na krótko. Mój wzrok padł na rower Szanownego, infantylnie porzucony w salonie. Przetawiłam go jakiś czas temu za kanapę. Odkąd jednak ruszył sezon grzewczy, a za wspomnianym meblem znajduje się również grzejnik, rower zaczął mnie wyjątkowo drażnić. Może podrzucę go Szopenom? Zaczną jeździć, a nie grać mi na nerwach. Wywalić na balkon?

Sprzedać? Regularnie suszę Szanownemu głowę o to pieprzone żelastwo, ale najwyraźniej nic sobie z tego nie robi. O! Właśnie mi się przypomniało. Miał osioł kupić jakieś haki i powiesić rower na ścianie w biurze, żeby nikomu nie przeszkadzał. Coś mi się jednak zdaje, że jak sama tego nie zrobię, to zabawkę Szanownego postawimy zimą na środku salonu i będzie udawała choinkę. Niu dizajn czy coś. Szkoda, że Łobuz jest taki mały, bo może przy odpowiednim przeszkoleniu po prostu zeżarłby ten złom.

Patrzę dalej. Stos moich obrazów (czasem coś samozwańczo chlapnę akwarelą na płótnie) również leży w salonie i się kurzy. Ostatnio jak się wyprowadzałam, w pierwszej kolejności pościagałam obrazy ze ściany, a potem zapomniałam je porozwieszać. Jest zatem 1:1. Dalej. Suszarka na ubrania – wspólna. Ale też mnie drażni. Zresztą całe to pomieszczenie mnie irytuje. Chyba dojrzewam do remontu, zmian przestrzennych albo to menstruacja lasuje mi mózg (niepotrzebne skreślić).

32.

Wybiła północ. Właśnie się wykapałam i walnęłam jak rzadko kiedy do łóżka – niemoc mnie ogarnęła straszliwa. Jutro początek tygodnia, a wiecie, jak kocham poniedziałki. Zrobiłam Szanownemu test na inteligencję. Pytam: „Czy uważasz, że jesteś w pełni samodzielna, myślącą jednostką?”. Kiwa głową, że tak. „Czy potrafisz prowadzić swoją firmę z polotem i z myślą perspektywiczną?” Potakuje. „Czy potrafisz się samodzielnie ubrać?” „O co ci chodzi?” „No pytam grzecznie, czy potrafisz się samodzielnie ubrać, to grzecznie odpowiadaj”. „No potrafię”. „To czemu, kurwa, taki inteligentny i samodzielny facet nie potrafi powiesić nowej rolki papieru toaletowego, tylko zostawia gołą obręczkę na uchwycie w ubikacji?! Za trudne to jest?!” – wściekam się, ciskając w niego pustą rolką. „Jak za trudne, to powiedz! Zgłosimy się po jakąś rentę, może uda się zdobyć kartę dla niepełnosprawnych i będę mogła parkować na najlepszych miejscach!” Milczy. „Palant jesteś” – dorzucam i wychodzę. Patrzcie, jaka to arcytrudna rzecz zdjąć zużytą rolkę i powiesić nową! To prawie jakby się, za przeproszeniem, wysrał i nie spuścił po sobie wody. No krew mnie nagła zalała. Konus jeden pierdzielony. Samodzielny wielce, a prostej czynności nie potrafi wykonać. Ależ się zjeżyłam. Chyba mu kiedyś w ramach nauki w strategicznym momencie zostawię pustą rolkę i ukryję

wszelki papier z zasięgu wzroku. Wysyła sygnały, zanim skorzysta, więc nie będę miała problemu z ustaleniem odpowiedniej chwili... Dobry plan, bardzo dobry. Ciekawe tylko, czy kwiat w łazience będzie miał po tej akcji komplet liści.

Leje za oknem. Chyba opryszczka mi wyłazi na ustach. Ma prawo. Jeszcze kilka dni i hormony wrócą do właściwego poziomu. Tylko jak ja ze sobą wytrzymam? „Buzi na dobranoc!” – wołam. Biuro sąsiaduje z sypialnią, więc mnie słyszać. Tupot. Przylazł. Dał. Chce zgasić lampkę. „Buzi chciałam, a nie żebyś mi prąd odciął” – warczę. „Weź ty już dostań tego okresu!” Uśmiecham się. „Ale przecież jestem miła” – mówię. „Jak śpisz!” Szanowny daje drugiego całusa i wyłazi. Eeeee, no chyba nie jest aż tak źle. Jak chcę, to przecież potrafię!

33.

Nie wiem, czy ktoś Wam kiedyś mówił, że nieszczęścia chodzą parami. Mówił? Kłamał. Ja wam powiem, że nieszczęścia chodzą przynajmniej kilkoma parami. Na dowód przedstawię swój dzisiejszy przezajebisty dzień. Poniedziałek. Lub początek tygodnia, jak kto woli.

Godzina 9.30. Wylewam supersłodką herbatę na swój superfajny laptop. Godzina 10. Alior Bank pada totalnie, nie mogę wysyłać przelewów, na konto też nic nie wpływa. Godzina 11. Kupuję za poradą informatyka klawiaturę zewnętrzną (by nie używać tej zalanej). Jak się okazuje, ma złą końcówkę. Godzina 14. Szanowny gubi kluczyki od samochodu. Godzina 15. Puszcza wąż od słuchawki w zlewie – kuchnia zalana. Godzina 17. Łapie mnie taki nerwoból, że stojąc w biurze, dyszę do Szanownego: „Chyba mam zawał”. Godzina 20. Uświadamiam sobie, że miałam zacząć pierwszy dzień diety i znowu mi nie wyszło. 21.35. Złoty kolczyk wpada mi do odpływu w umywalce. Godzina 22.40. Jestem po drugim piwie i już mi wszystko jedno. W tym czasie pies niechcący gryzie mnie w ramię. Dziękuję. Do widzenia. Nic tylko położyć się i nie wstawać. Aaaaa! Zapomniałabym, dostałam jeszcze karę od moderacji Wizażu za umieszczenie linku do swoich aukcji na forum.

Teraz policzcie moje dzisiejsze nieszczęścia. Jak ktoś Wam kiedyś mówił, że chodzą parami, to jak pisałam na

początku – łągał. Kłamał. Ściemniał. Kutafon lub kutafo-
nica!

Zrealizowałam plan podprowadzenia Szanownemu wycierotyłka z ubikacji... Gdy tylko zobaczyłam, że tradycyjnie przemierza długości salonu, pobiegłam do WC („Zlituj się, okres mam!”), zawiesiłam pustą rolkę, kazałam Szanownemu sprawdzić „coś” w komputerze i do tego rolki z ubikacji wraz z chusteczkami nawilżającymi ukryłam w lodówce (ha!). Foto umieściłam wiadomo gdzie. Żeby jednak nie wyjść na skończoną zdziwę, na półeczce zostawiłam mokre ściereczki do kurzu. Ciekawa byłam, kto wygra tę nierówną walkę. Pojedynek czas zacząć. Kwiat vs. chusteczki do kurzu.

Po kilku minutach drze się: „Kinia, papieru nie ma!!!”. Udaję, że nie słyszę, zakładam słuchawki, włączam muzykę. Po jakimś czasie przychodzi zniesmaczony do biura. Od progu słyszę: „Ale kompromitacja...”. Z miną niewiniątka ściągam słuchawki i pytam, co się stało. Odpowiedź przeszła moje najśmielsze oczekiwania: „Pierwszy i ostatni raz podtarłem dupę podpaskami” – mówi i zmyka do łazienki. Zatkano mnie, artysta mi się w domu objawił! A to rudy lis, przechytrył mój plan. Mam tylko cichą nadzieję, że od tej pory w naszej ubikacji pusta rolka nie będzie samotnie wisiała... W przeciwnym wypadku wyciągnę cięższe działa... :)

W tym rozdziale należałoby również dodać, że chyba wygrałam walkę z Szopenem.

W dniu wczorajszym otrzymałam pismo

z administracji. Cytuję: „W odpowiedzi na Pani pismo z dnia... informuję, iż właściciele mieszkania... ustalili godziny gry na pianinie [w końcu wiem, jakie ustrojstwo mają], tj. próby będą odbywały się w godzinach 16–18. Liczę na to, że ustalony czas gry rozwiąże problem nadmiernego hałasu i satysfakcjonuje Panią”. A pewnie, że satysfakcjonuje! Nie wiem, jak reszta sąsiadów, ale mnie to pasuje. Okazuje się, że można było znaleźć rozwiązanie. Ciekawe tylko, czy pomogła operacja „Kupa”, czy moje ostatnie napieprzanie miotłą w kaloryfery przyniosło skutek? Tego pewnie się nie dowiem, ważne jest jednak to, że wywalczyłam swoją ciszę. Kupię sobie teraz do biura perkusję. A co? Wolno, nie? :)

34.

Rozdział 34. 3+4 równa się 7. Ładna liczba. W sam raz na zakończenie.

Zarządziłam remontos. Kupiliśmy farby i walczymy. Sypialnia i korytarz pomalowane, do reszty trzeba wezwać posiłki. Trzeci dzień śpię na kanapie w biurze, a Szanowny w salonie. Pełna wstrzemięźliwość. Rozpierducha w domu totalna, nawet Łobuz próbuje pomagać (foto!).

Pomału przymierzam się do zakończenia *Codziennika*, bo przecież czas i pora podzielić się nim ze światem. Przedstawiłam w nim autentyczne sytuacje, swoje przemyślenia, opisy dnia codziennego. Podzieliłam się swoją perspektywą (niekoniecznie logicznego) myślenia. Mam nadzieję, że spodobał się Wam mój osobisty wypotnik i że będziecie błagać wydawnictwo o kolejną część. Ja ze swojej strony mogę obiecać, że kontynuacja nastąpi natychmiast! Już kupiłam kolejny zeszyt.

Zaglątajcie na floga, być może również na fejsa – zaraz powstanie strona poświęcona *Codziennikowi*. Dziś postanowiłam również, że do książki dołączę kilka fajnych ilustracji. Jeszcze nie wiem czyich. Informacji szukajcie na okładce bądź w „moich” środkach przekazu.

Dziękuję dziewczynom z Wizazu: Magu, Kaputce, Musticdze, Eveli, Katarzince, Brzyduli, Hatti, Gwiazdce, Martce i Anisi za wspólny czas, za recenzje, za mnóstwo przepisanych wątków. Szkoda, że wizażowy zarządca nie

odpowiedział na maila i nie nawiązał ze mną współpracy. To samo tyczy się tych z floga, ale niech oni się wstydzą. Albo żałują :)

Dziękuję mojej kochanej pani stomatolog Dorocie K. oraz jej przesympatycznej współpracownicy (bidulka z tą nogą) za cierpliwość i za to, że ciągle mnie znosi.

Dziękuję tym, którzy kupili książkę i im się spodobała. Tym, co się nie spodobała, też dziękuję, ale zanim zaczniecie krytykować, pokażcie, co sami napisaliście.

Dziękuję rodzicom Szanownego za ukształtowanie go na takiego człowieka, jakim jest.

Dziękuję mojej mamie na to, że 6 marca 1981 roku otworzyła mi okno na świat.

Dziękuję mojemu synowi za to, że go mam.

PS Specjalne podziękowania dla Marty spod czterdziestki czwórki, Justyny z ulicy na K. oraz dla ekipy DiamanteWear – Żanci i Piotrasa.

Kłaniam się wszystkim, którzy mieli, mają lub będą mieć ze mną do czynienia, oczywiście w pozytywnym sensie. Do zobaczenia w drugiej części!

PS 2 Piotrze C., autorze *Pokolenia Ikea*, czekam na drugą część książki i również dziękuję.

PS 3 Wydawnictwu Novae Res też dziękuję – w szczególności Kubie K.

A jak kogoś nie wymieniłam, spokojnie – mam dwa równoległe środki przekazu i pewnie po delikatnym przypomnieniu to zrobię.

Szanowny! Nigdy się nie zmieniaj, bo zabraknie mi

tematów... :)!

Dziwnie kończyć, jak się ma jeszcze tyle do opowiedzenia...

Poza tym zagłądajcie na
www.kingamatusiak.natemat.pl ;)